

Wywiad z odtwórcami ról Felixa, Neta i Niki
Numer 3/2012 (5) listopad 2012r.

MAGAZYN

dla fanów FNiN



Po premierze filmu
„Felix, Net i Nika oraz
Teoretycznie Możliwa Katastrofa”

Oraz: „Kosikowi Sto lat”, Podróże: Instrukcja obsługi

Drogi Czytelniku!

Życie przemija zbyt szybko, dopiero co miałeś w swoich wirtualnych łapkach sierpniowy numer Magazynu, a tu już pojawia się kolejny, po dwóch miesiącach powszechnie nie lubianego roku szkolnego. W poprzednim wstępniaku FNiN_addict wyraziła nadzieję że poczytność Magazynu wzrośnie o 200%; nie wiem, czy wzrosła aż w takim stopniu, ale popularność owszem (statystyki nie kłamią!).

Ja zaś, jako nowy redaktor, żywię nadzieję że owa popularność nie spadnie wskutek mojego przyłączenia się do tego przedsięwzięcia.

W nowym numerze czekają na Ciebie artykuły o baaardzo szerokim spektrum tematycznym: od wywiadu z aktorami grającymi Felixa, Neta i Nikę w najnowszym filmie, poprzez jego recenzje (jak i innych dzieł wizualnych oraz książkowych), sprawozdanie z wyjątkowej celebracji urodzin Rafała Kosika, aż po śmiertelnie poważne teksty o Świecie i Ludziach.

Ciesz się nas bardzo rozwój Felixowego fanklubu; za nami jest już Polcon, na którym świetnie się bawił fanklubowy korpus ekspedycyjny, za nami grupowe oglądanie filmu TMK w miastach rozsianych po całej Polsce, za nami wspólne obchody urodzin autora naszej ulubionej serii. A przed nami kolejne wspólne przeżycia, konwenty (zapraszam jako rodowity lublinianin na Falkon, 23-25 listopada), oraz kolejne numery Magazynu.

Życzę miłej lektury, oraz jak najmniej bolesnego (a może nawet produktywnego) roku szkolnego!

KamcioKowal

SPIS TREŚCI

DROGI CZYTELNIKU!.....2

PO PREMIERZE FILMU TMK.....3

WYWIAD Z KLAUDIA, KAMILEM I MAĆKIEM.....3

RECENZJE FILMU FNiN.....6

KOSIKOWI STO.....8

KOSIKOWI STO.....8

WAKACJE (OD)KSIĄŻKOWE.....10

WAKACJE (OD)KSIĄŻKOWE.....10

KSIĄŻKI I RECENZJE.....12

CO BĘDZIE ZA 50 LAT? A PÓŹNIEJ?.....12

CO BY BYŁO GDYBY.....12

„ROZGWIAZDA” PETER WATTS.....13

„PAMIĘĆ ABSOLUTNA”15

AMATORKA RADZI.....16

JAK PISAĆ?.....16

W CYLINDRZE PRZEZ ŚWIAT.....18

PODRÓŻE: INSTRUKCJA OBSŁUGI.....18

RETROGRALNIA.....20

RETROGRALNIA 2.....20

FELIETONY.....21

NIE SAMYMI FELIXAMI CZŁOWIEK ŻYJE21

PSEUDOKSIĄŻKI.....22

COŚ SIĘ KOŃCZY.....24

O RECENZJACH SŁÓW KILKA – RECENZJA VS RECENZJA.....26

PATOLOGIE INTERNETU.....27

WSZYSCY ŻYJEMY W MATRIXIE.....29

POSTĘP CYWILIZACJI – CZY JESTEŚ SZCZĘŚLIWSZY

OD JASKINIOWCA?.....31

Redaktor naczelny: kam193. **Zastępca:** Snorri. **Korekta:** Fileas, Snorri, Magix Slayer, FNiN_addict **Okładka:** Bookish’a. **Skład:** kam193.

Redakcja: kam193, Snorri, FNiN_addict, drzewo148, Karmel, Y-oda, Fileas, KamcioKowal, Magix Slayer.

Jeśli chciałbyś/chciałybyś dołączyć do Redakcji – napisz testowy artykuł na dowolny temat i wyślij do kam193 na adres kam193@fnin.eu

WWW.MAGAZYN.FNiN.EU

PO PREMIERZE FILMU TMK

Wywiad z Klaudią, Kamilem i Maćkiem

Długo wyczekiwany film „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa” zagościł na ekranach kin 28 września. Przedstawiamy wywiad z odtwórcami tytułowych ról Felixa, Neta i Niki – Kamilem Klierem, Maćkiem Stolarczykiem i Klaudią Łepkowską.

Magazyn dla Fanów FNiN: Czy czytaliście serię FNiN już wcześniej, czy też dowiedzieliście się o niej dopiero kiedy poszliście na casting? Co o niej sądzą?

Klaudia Łepkowska: Z serią "Felixa..." spotkałam się już będąc w podstawówce, więc na kilka lat przed castingami, jednak okazję do bliższego zapoznania się z książką miałam dopiero przy spotkaniu z filmem. Uważam, że jest to jedna z ciekawszych książek jakie czytałam, o tematyce niespotykanej jak na polski rynek książkowy, mnie podobała się bardzo.

Kamil Klier: Dużo osób nas się o to pyta. Ja osobiście wiedziałem że takowa seria istnieje, ale nie zabrałem się za którąkolwiek z części przed dostaniem scenariusza. Może dlatego, że znajdowałem się wtedy w świecie Tolkiena i żadna inna książkowa kreacja do mnie nie przemawiała. Natomiast po „pochłonięciu” TMK doszło do mnie ile straciłem, zabierając się za całą serię FNiN tak późno.

Maciek Stolarczyk: O FNiN słyszałem wcześniej, ale nie czytałem, TMK oraz całą serię przeczytałem dopiero przed filmem. Sądzę, że w dobie książek o zakochanych wampirach jest to naprawdę dobra alternatywa dla młodego czytelnika. Bo to nieprawda, że młodzież nie lubi czytać, po prostu nie ma nic „naszego”, co by ją zaciekało.

Magazyn: Czy czytając FNiN wyobrażacie sobie głównych bohaterów jako siebie?

Klaudia: Czytając FNiN w pewnym sensie wiedziałam, że to ja mam szansę być odtwórczynią książkowej Niki, dlatego też książkę czytałam mając swój obraz przed oczyma.

Kamil: Myślę że to nie zależy jedynie od tego czy grałem w TMK, czy nie. Wydaje mi się że każdy czytając książkę utożsamia się z jakimś bohaterem w mniejszym lub większym stopniu. W „Felixie...” postaci są bardzo różnorodne, więc zapewne każdy czytelnik upatrzył sobie jakiegoś „faworyta”. Natomiast na pewno starałem się wczuć w rolę Felixa w momencie czytania scenariusza, zastanawiałem się jakbym siebie widział w tej roli.

Maciek: Nie wyobrażałem sobie Neta jako siebie, raczej to, w jaki sposób ja go przedstawię, jak ja bym to zrobił, zagrał, powiedział, zaintonował.

Magazyn: Jakie uczucia wiążecie z premierą filmu? Baliście się trochę tego, jak zostaniecie odebrani przez fanów serii?

Klaudia: Wszelkie występy publiczne wiążą się z pewnego rodzaju stresem, tu wchodzi w grę rzesza fanów, a oczekiwania takiej grupy odbiorców zwykle są bardzo wysokie. Miło byłoby wiedzieć, że widzowie przyjęli moją osobę serdecznie.

Kamil: To była moja pierwsza kinowa premiera i czułem się na niej fantastycznie. Żałowałem tylko, że nie założyłem okularów przeciwsłonecznych, ponieważ natężenie flashów było tak ogromne, że momentami nic nie widziałem. Po wyjściu z sali kinowej czułem się trochę nie na miejscu, słysząc co chwilę liczne pochwały i gratulacje skierowane do mnie. Myślę, że każdy chciałby się tak poczuć jak my podczas premiery.

Maciek: Ja trochę się bałem, bo według niektórych nie pasuję do roli Neta, ale mam nadzieję, że Net w moim wykonaniu przypadnie komuś do gustu.

Magazyn: Jak wspominać kręcenie zdjęć, nie żał Wam trochę wakacji spędzonych na planie?

Klaudia: Gdy tylko dowiedziałam się, że zagram w filmie – rozpaczałam, wszystkie moje wakacyjne plany z przyjaciółmi legły w gruzach, jednak jak szybko się okazało, wakacje na planie

wspominam jako jedne z najlepszych w moim życiu, to była niezapomniana przygoda.

Kamil: Jakich wakacji? Przecież mieliśmy dwa miesiące świetnej przygody, wycieczek po całym kraju (i nie tylko), przeżywania wspaniałych wrażeń i doświadczania nowych rzeczy.

Maciek: Wakacji mi nie żal, bo był to czas pracowicie, ale dobrze spędzony. Pośród ujęć myślę, że dzięki ekipie i plenerom w jakich graliśmy mieliśmy namiastkę wakacji.

Magazyn: Film TMK składa się w dużej części z efektów specjalnych, dodawanych już po zrobieniu zdjęć. Jak grało się Wam sceny, w których występowały rzeczy dodane komputerowo, np. rosiczka tygrysia czy chmara minirobotów?

Klaudia: Było to dla nas bardzo duże wyzwanie. Wymagało to od nas współpracy i dyscypliny, a dodatkowo ogromu wyobraźni, by dobrze odtworzyć charakter sceny.

Kamil: Najważniejsze w filmie były nasze wspólne reakcje oraz spojrzenia, ponieważ to także ożywiało te komputerowe efekty. Póki co moja wyobraźnia funkcjonuje prawidłowo, więc nie miałem problemu ze „stworzeniem” w mojej głowie Rosiczki czy Manfreda i zagranie tak, jakby rzeczywiście istnieli.

Maciek: To nie było proste ale mam nadzieję, że podołaliśmy zadaniu. Efektów nie było jak graliśmy, nie widzieliśmy do końca co powstanie w puste miejsce. Większością efektów była zielona kula na kiju. Rosiczkę zagrał nasz fotosista przebrany w zielony kostium.

Magazyn: Możecie wymienić jakieś śmieszne lub warte zapamiętania sytuacje, które miały miejsce na planie filmowym?

Klaudia: Ciężkie pytanie, ponieważ jak wiecie zdjęcia odbywały się kilka lat temu, a takie sytuacje zdarzały się każdego dnia! To co najbardziej utkwiło mi w głowie to głupawka, która złapała nas w najbardziej nieoczekiwanym momencie... scena pełna napięcia, uciekamy, wbiegamy do domu i zza pleców słyszę "eee nooo WYRWAŁEM KLAMKĘ!". To był głos Kamila... Po tym incydencie ciężko było nam się opanować.

Kamil: Wyrwałem klamkę kiedy panicznie uciekaliśmy do domu przed „Bezkształtem”... Po moich słowach „ej, co ja mam zrobić z tą klamką?” połowa ekipy zgięła się wpół ze śmiechu.

Maciek: Oj, takich było wiele, z racji upływu czasu nie pamiętam wszystkich.

Magazyn: Macie jakąś scenę, która sprawiła Wam najwięcej trudu przy jej odgrywaniu?

Klaudia: Dla mnie były to wszystkie sceny, w których Nika wspominała o swoich rodzicach, musiałam włożyć wiele serca w to by takie otwarcie się przed widzem wyglądało naturalnie i wiarygodnie.

Kamil: Sporym wyzwaniem był czwarty wymiar, ponieważ nawet reżyser dokładnie nie wiedział jak to ma wyglądać. Zaczęliśmy kombinować, udawać pijanych, później wyginać się na wszystkie strony, a i tak połowa scen nie została zrealizowana.

Maciek: Myślę, że sceny z efektami, bo tak naprawdę nie wiedzieliśmy, czego się mamy spodziewać, każdy miał tam jakieś swoje wyobrażenia tego wszystkiego, a musieliśmy to złączyć w jedną całość.

Magazyn: Maciek i Kamil mają już doświadczenie w kinematografii, dla Klaudii to filmowy debiut. Co Was skłoniło do aktorstwa?

Klaudia: Ciekawość. Aktorstwo, film, teatr – zobaczyć to wszystko od kulis to niezapomniana przygoda.

Kamil: Szczerze, to niezbyt pamiętam. Moja przygoda z aktorstwem zaczęła się w momencie, kiedy miałem około pięciu lat, więc czasami czuję się tak, jakby druga strona ekranu była ze mną od zawsze.

Maciek: Nic mnie nie skłoniło, raz byłem z nudów na castingu. Nie ma jakiegoś konkretnego powodu, nikt mnie nie zmuszał, samo tak jakoś wyszło.

Magazyn: Wiążecie przyszłość z aktorstwem, czy to raczej krótki romans, przygoda?

Klaudia: Dopóki nie przeżyłam tego na własnej skórze, aktorstwo traktowałam jako hobby, jednak teraz czuję, że to to, czym chciałabym zajmować się w życiu.

Kamil: Romans... Ciekawe określenie, odnosząc się do gry aktorskiej. Rzeczywiście, bardzo mnie to „kręci” i chciałbym grać gdzie tylko się da, najlepiej kogoś o całkowicie przeciwnym charakterze. Natomiast momentami boję się całkowicie poświęcić się aktorstwu. Nie jestem takim optymistą. Mam świadomość tego, że nie zawsze jest tak kolorowo, nie zawsze jest się tytułową postacią.

Maciek: Ja i Klaudia mamy jeszcze rok aby zdecydować, Kamil ma czas do czerwca.

Magazyn: Jakie to uczucie oglądać siebie w filmie? Śmiejecie się na przykład ze scen, gdzie uważacie, że wyglądacie śmiesznie?

Klaudia: Ze względu na dużo wspomnień śmialiśmy się przez 3/4 filmu, kiedy oglądaliśmy go razem po raz pierwszy! Jest to niesamowicie dziwne uczucie, ja osobiście widząc siebie nie mogę uwierzyć, że to faktycznie dostałam taką szansę.

Kamil: Byliśmy razem na około trzech (czterech?) pokazach i zapewne dwa pobliskie rzędy w kinach odczuły naszą reakcję na niektóre sceny. Zwłaszcza bawiły nas teksty w stylu „Co tu robi ten Hitler?” albo „Łom by się przydał”. Zupełnie inaczej odbiera się film, mając świadomość tego, jak to wszystko wygląda od wewnątrz. No i często przywoływane są wspomnienia.

Maciek: Ja nie lubię się oglądać, ale chyba każdy tak ma. Nie lubię, bo widzę co mógłbym zrobić lepiej, co poprawić, itd.

Magazyn: I na koniec „firmowe” pytanie: kojarzycie Oficjalny FanClub FNiN, forum, WikiFNiN lub Magazyn dla Fanów FNiN? Zaglądacie lub zagląдалиście tam kiedyś?

Klaudia: Oczywiście! Kiedy tylko szukam informacji i nowości ze świata FNiN zaglądam na te strony – wszystko tam jest!

Kamil: Dobra, przyznam się, że znam oficjalny FanClub FNiN. Może pozdrowiłbym kilka osób, ale pewnie kogoś bym pominął, a to zawsze przynosi efekt odwrotny do zamierzonego. Odwiedzam czasami różne fora pod osłoną „gościa”.

Maciek: Oczywiście, że kojarzę.



Klaudia Łepkowska



Kamil Klier



Maciek Stolarczyk

Recenzje filmu FNiN

Na szczęście nie przypadło mi pisanie własnej recenzji, bo z zasady nie używam wulgaryzmów. Zatem przedstawię wam tylko, co o tym filmie mówili/pisali inni, z może nieco bardziej popularnych niż nasza strona.

Zacznijmy od wp.pl. Wszyscy chyba słyszeli, wszyscy znają. Recenzja była całkiem pozytywna... jak na taki film. Wytknięto jednak kilka istotnych błędów.

Produkcja jest pomyślana jako pocztówka z wakacji i istotnie ogląda się ją z przyjemnością, nie ma w niej dłużyzn (choć niektóre wątki w książce mogą się sprawdzać, natomiast w filmie powodują chaos i odwracają uwagę od głównego wątku) i dosyć brawurowo przechodzi do sedna akcji.

Faktycznie, wiele jest bezsensownych, chaotycznych wątków. Czemu akcja rozpoczyna się na początku w szkole? Po co roszciska? Nie ma to żadnego związku z resztą fabuły. Co do brawurowego przejścia do sedna... Było jakieś sedno akcji?

„Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa” sprawi przyjemność fanom zakrzywania czasoprzestrzeni, wątków science fiction i logicznych łamigłówek.

Osobiście nie sądzę. Zapewne można by tak napisać o książce, ale o filmie na pewno nie. Zresztą, jak skomplikowaną łamigłóvkę można umieścić w filmie trwającym niecałe dwie godziny...?

Kolejna recenzja z portalu filmowego, zatytułowana „Dzieci lubią mielonkę”. Skąd ten tytuł?

Raz, że nawiązuje do filmu. Dwa, że można ją rozumieć symbolicznie – mielonka, jako bezsensowne zmieszanie przypadkowych scen z efektami specjalnymi.

Fileas

To również kino familijne, dlatego zrealizowanie adaptacji bestsellera z serii Rafała Kosika o przygodach bystrych nastolatków w taki sposób, by była atrakcyjna i dla dorosłych, rozumiało się samo przez się. To się nie udało.

Faktycznie, nie udało się. Nic dodać, nic ująć.

Takie też – sztuczne i literackie – są ich dialogi, inkrustowane zawołaniami w rodzaju „ta mielonka jest przesmaczna!” i „przekleństwami” typu „motyla noga” (przywołuje się Wuj Dobra Rada z innego filmu).

Znów mają rację. W książce teksty Neta w stylu „motyla noga” wypadły bardziej naturalnie, bo jako tako znaliśmy już jego charakter i styl. A w filmie brzmiały żałośnie.

Widzowie nieznający ekranizowanej książki mogą mieć problem ze zrozumieniem „Teoretycznie Możliwej Katastrofy”. Winny tu jest scenariusz, któremu brak narracyjnej płynności. To poważny mankament w obrazie, gdzie postaci nieustannie teleportują się w czasie i przestrzeni (efekty specjalne nie najgorsze) – ze współczesności do przyszłości i do kwietnia 1945 roku, z Polski do Londynu i z powrotem.

Z tego co wiem, nie ta jedna pani zauważyła brak płynności w scenariuszu. Oglądając film, ma się wrażenie, że losowo powycinano sceny, zostawiając chyba tylko te, które się najbardziej reżyserowi/autorowi podobały, przez co nie można dojść co z czego wynika.

Kolejna recenzja ze stopklatki – „Katastrofa nie tylko w teorii”.

Scenariusz drugiej [części] więc skrócono, pocięto i sformatowano w taki sposób, by w ciągu niespełna stuminutowej projekcji żaden zwrot akcji nie uszedł uwagi widzów. Poza nimi niczego jednak w filmie nie ma. „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa” to kiepskiej jakości produkcja dla młodzieży, pełna nienaturalnych dialogów i nierównych efektów specjalnych.

Tak, to prawda. Tylko czy efekty specjalne były nierówne? Raczej po prostu niedopracowane. A i tak chyba była to najmocniejsza część filmu.

A tutaj są recenzje zwykłych, albo i nie, użytkowników naszego forum.

Reasumując, film wyszedł dobrze, ale widocznych było sporo niedociągnięć. Zdecydowanie obejrzeć należy, choć cudów proszę się nie spodziewać.

I, co ważniejsze:

A Bezkształt był zbyt kształtny.

kam193

Admin, jako pierwszy. Jak widać, recenzja względnie pozytywna.

Nie będę narzekać na to, że wycięli 70% fabuły książki, a pozostałości zmodyfikowali.

Nie będę narzekać na to, że efekty „specjalne” wołają o pomstę do nieba.

Ale narzekać, sarkać, bipać i zrzedzić będę na każde wspomnienie aktorów!

Kage-Sama

Zgadzam się. Jeśli reszta była taka sobie, to gra aktorów była beznadziejna.

Film był dobry. I w sumie, niestety, „tylko” dobry.

FNiN_addict

Krótko i na temat. Właściwie ciężko ocenić, czy to pozytywne czy negatywne wrażenia. Choć biorąc pod uwagę jakość filmu, raczej pozytywne.

Przypominają mi się jeszcze sceny zasiadania do posiłków (tata Felixa rozkłada talerze itp.), rodem jak z „Plebani”.

Justi

Aż dziwne, że ona pierwsza to zauważyła.

Mówcie co chcecie, ale najbardziej spektakularny moment w filmie to przeskakiwanie barierki przez Felixa. I to dwa razy!

Klaudia xd.

Kolejna błyskotliwa i oryginalna uwaga. Ale czyż nie słuszna?

Ach..., czemu to musiała być taka wielka klapa!? Jakież 70% fabuły książki wycięte ze scenariusza, gra aktorska – sztuczna i drętwa (nie to, że próbuję udawać jakiegoś

znawcę, ale to na serio rzucało się w oczy), masa błędów, masa nieścisłości...

Stempel

To jest recenzja chyba najbardziej zgodna z moimi własnymi poglądami.

A więc dzisiaj byłem w kinie, i powiem wam, że film mi się bardzo podobał

Pitter

Dla równowagi, jakaś recenzja pozytywna. A co tam.

Film jest niestety fatalny – zalety można policzyć na palcach jednej ręki: całkiem porządna gra Neta, dosyć śmieszne dialogi... I to chyba wszystko, porządny operator kamery, ta niezamierzona rywalizacja o Nikę też wyszła bardzo fajnie.

Fileas

Mhm.

Dla mnie wyszło... słabo, drętwo i nieśmiesznie. Moim zdaniem gra aktorska wiele nie urwie się od tej prezentowanej w 'Trudnych sprawach'.

Jasti

O! Kolejne ciekawe porównanie!

Ja, mimo że czytałam książkę nieraz, nie wiem o co w tym filmie chodziło

Mortenka

No tak, ciężko było, zwłaszcza jeśli się oczekiwało zwrotów akcji takich samych jak w książce.

Zdania są bardzo podzielone. Jednym się efekty specjalne podobały, inni uznali je za beznadziejne, jednym się podobała gra aktorów, inni stwierdzili, że to najgorszy element filmu. Nie było jednak osoby filmem naprawdę zachwyconej, zresztą nic dziwnego. Pozostaliśmy więc przy książce!

Karmel

KOSIKOWI STO

Kosikowi Sto

Już w październiku roku dwa tysiące jedenaściego wiadomym było, że akcję, pod wiele mówiącym tytułem „Kosikowi Sto Lat”, kontynuować będziemy. Dlatego gdy w połowie czerwca tego roku Bookish’a, popularnie zwana Buką, rozpoczynając nową dyskusję, postawiła pytanie „Co robimy?”, na odzew nie trzeba było długo czekać.

Niemal od razu wielu ludzi, sygnując pomysłami, zaoferowało swoje wsparcie. Mówiono o krótkim video, audiobooku, czy kolejnej części jachtu (tu nawiązanie do poprzedniej edycji akcji; Kosik dostał wtedy koło sterowe). Wśród tych pierwszych propozycji pojawiła się też koncepcja, która relatywnie szybko ewoluując doczekała się realizacji. Cytując Royalka: „a gdyby tak Trampki i Czekoladę spisać w jedną całość, wydrukować, oddać do introligatora (oprawić) i mu wysłać?”

Trampki i Czekolada (T&C) to zabawa forumowa, pisana „łańcuszkiem”, przez kilku zaangażowanych użytkowników, historia rozbudowywana dzień w dzień. Poza T&C na forum można pobawić się także w ViK czy wiele innych podobnych gier.

Ostatecznie pomysłu nie zaaprobowano. Trampkom zarzucano zbyt dużą chaotyczność, brak jednolitej linii fabularnej zbliżającej się do jakiegokolwiek zakończenia, argumentowano brakiem jakiegokolwiek korekty.

Pojawiła się za to bardzo podobna propozycja. Jednak tym razem to nie historia prowadzona przez dowolną liczbę użytkowników miała grać główną rolę, a wiele faników (dla nieznanego pojęcia – fanik to historia, której autor wykorzystuje postacie, miejsca z ulubionej książki do „własnych celów”) wcześniej wybranych w „plebiscycie”. Pojawiły się pierwsze typy – wskazywano opowiadania FNiN_addict, Valixy czy Kage-Samy. Tylko Buce i mnie ten projekt nie przypadł do gustu. Na nasze nieśmiałe protesty nikt nie zwrócił uwagi – i chyba dobrze się stało.

Pomysł z drukowaniem czegośkolwiek zszedł na drugi plan, gdy Y-oda (kolejna userka) półzartem zaproponowała nagranie audiobooka. Wsparło ją kilka osób. Mimo to projekt odrzucono, jako sprawiający zbyt wiele problemów organizacyjnych.

Wróciliśmy więc do zbioru faników. Założony został wątek, w którym każdy mógł wytypować opowiadanie, które jego zdaniem najbardziej nadaje się do pokazania Kosikowi. Powoli pojawiały się tam kolejne propozycje, jednakże odzew był mniejszy niż się spodziewano.

I wtedy do akcji wkroczył Dziobal. Nie żeby to jakoś popchnęło sprawę do przodu – po prostu miał pomysł dużo klarowniejszy od tego realizowanego. W zasadzie dopracował wybraną już propozycję.

Poprosił czterech użytkowników (FNiN_addict, KamcioKowal, Valixy, i mnie) o napisanie tekstu, którego główny motyw miał kojarzyć się z Kosikiem. Jako deadline wyznaczył koniec sierpnia – do tego momentu wszystko zamarło. Oczywiście każdy mógł spróbować swoich sił – na wymienionych użytkowników jednak, Dziobal liczył szczególnie.

Koniec sierpnia i początek września to czas zapewnień („Tak, wrzucę to do jutra”, „Mam gotowe”, „Jeszcze tylko zakończenie”, „Pisze się”), które były głównie moim udziałem. Jako, że teksty „pisały się” zajęto się szczegółami. Pomysłodawczynią tytułu jest FNiN_addict, dzięki której udało się uniknąć okropnego „Człowieka, który inspiruje od 41 lat”. „Głos Kosika” zyskał sporą popularność i zdecydowaną większością głosów zwyciężył w zorganizowanej naprędce ankiecie.

Zaczęto też przebąkiwać o konieczności zaprojektowania okładki. Wszystkie oczy zwróciły się ku Bookish’y, która na forum dzierży funkcję „grafika”. Udało się jej jednak wybronić (wspaniały argument „nie mam pomysłu”). Podjął się więc KetevaN (który, swoją drogą, zasłużył na owację na stojąco).

Życzenia – planowano napisać jedno, wspólne, pod którymi widniałby podpis „Oficjalny Fanklub FNiN”, a także szereg mniejszych,

krótszych, osobistych, których autorami mieli być ludzie zaangażowani w projekt. Życzenia fanclubowe napisał Kam193, natomiast jeśli chodzi o te osobiste to nikt (poza Zegarmistrzem) nie postanowił się dorzucić.

W międzyczasie opublikowanych zostało kilka ostatecznych wersji tekstu i zaczęliśmy zastanawiać się nad składem. Powstało wiele „Warznych” tematów (m.in. „Warzne Detale”, „Niezbýt Warzne” czy „równierz warzne”). Zaczęto poszukiwać kogoś do napisania wstępu do antologii – typowano Kama193 i Fileasa. Zaczęły się też prace ilustratorskie – tu wielkie uznanie należy się Patrycjoloni, która upiększyła niemal wszystkie teksty (poza „Forkosikiem” – aplauz wędruje do Gosiw – oraz „Komplantem” – ten tekst pozostał niezilustrowany).

Kiedy Buka, załatwiająca druk, przesunęła deadline na 17 września – wszyscy trochę odetchnęli.

15 i 16 września to chyba dwa najciekawsze dni w historii fanklubu. Nie było chwili by rozmowa tocząca się na shoutboxie zboczyła z tematu antologii (a były to dyskusje obfitujące w różnego rodzaju ekscesy).

Rozpoczęły się ostateczne prace korektorskie, Patrycjolona w pośpiechu kończyła ilustracje, a ja cicho chlipałem – byłem jedyną osobą, która nie oddała tekstu. Pojawiły się nowe przeciwności. Należał do nich np. problemy Kamcia – biedactwo, w wyniku awarii komputera stracił cały swój tekst. Dzielnym, przez kolejne 24 godziny starał się go odtworzyć.

Geneza działu „Warzne cycaty, czyli jak powstawała antologia” zamykającego „Głos Kosika”, jest dość prosta. Pojawiła się propozycja, by tak jak w normalnych pełnoprawnych książkach, tak i w naszej tylna okładka była „pokryta” cytatami zachwalającymi wewnątrz. „Cycatowym Paparazzi” została Patrycjolona – przez te dwa dni zebrała tyle dialogów i wypowiedzi, zarówno zabawnych, dziwnych, jak i niepokojących, że nie wszystkie udało się zmieścić w książce (niektóre się też nie nadawały). Ostatecznie z tyłu pojawiło się moje „Myślicie, że on to w ogóle przeczyta?”.

W ostatniej chwili, wraz z CezarIXen'em, dodaliśmy swoje teksty (dwa najkrótsze w antologii), które przeszły pośpieszną korektę – by dać nam trochę czasu Bookish'a przesunęła termin oddania do druku z 17 na 18. Zmęczeni, dokonując ostatnich poprawek (literówki, orty, interpunkcja), przyjęliśmy tę wiadomość z wdzięcznością. Zwerbowałem jeszcze tylko Gosiew – w kilka godzin powstała szubienica, czyli ilustracja do mojego opowiadania.

Wreszcie Buka dostała ostateczną wersję. Teraz czekaliśmy tylko na swoją kolej w drukarni. Byliśmy jednak spokojni – wszystko się udało, a nawet jeśli nie, to i tak nic już z tym zrobić nie mogliśmy.

Pozostała tylko kwestia wręczenia tego jubilatowi. Delegacja, składająca się z Drago, Buki, Bima, BartGa i Kama193, szóstego października w Łodzi, czyli dwa dni przed urodzinami Rafała Kosika, wręczyła mu antologię, „Głos Kosika”.

Teraz czekamy tylko na recenzję.

Snorri



WAKACJE (OD)KSIĄŻKOWE

Wakacje (od)książkowe

Koniec wakacji. Na stoliku obok mnie leżą trzy nieruszone książki, na półce kolejna, przeczytana w jednej trzeciej. W księgarni kolejne trzy do kupienia. Ale to jest normalne. Dziwnie zaczyna się robić, gdy liczę, ile książek w te wakacje przeczytałem. Trzy. Słownie: trzy.

Gdy dodatkowo zestawię to z liczbą książek przeczytanych w wakacje rok temu, wychodzi tragicznie: trzy do... dwudziestu trzech! Dramatyczny spadek mojego czytelnictwa. I nie można go wytłumaczyć brakiem czasu – jak w trakcie roku szkolnego, kiedy zazwyczaj czytuję tylko śladowe ilości. Do tego dochodzi kompletny brak chęci do czytania. Niektóre z czekających na mnie książek leżą w pokoju już kilka miesięcy... Czy zatem stałem się statystycznym Polakiem, który lektury widzi głównie przez szyby księgarń, jeśli przypadkiem obróci głowę w niewłaściwą stronę?

Mimo wyraźnych wskazań w tym kierunku – ilości przeczytanych książek, a przede wszystkim braku chęci do rozpoczęcia czytania – wciąż uważam, że jednak mogę zaliczać się do czytającej części społeczeństwa. Przede wszystkim świadczy o tym fakt, że czytanie dalej mnie wciąga. Że dalej nie chce mi się przerywać lektury. Ale co z tego, jeśli nie chce mi się jej w ogóle zaczynać?

Po długich rozmyślaniach o smutnym fakcie odejścia od regularnego czytania stwierdziłem, że po prostu zaczęły mi się nudzić książki, jakie dotychczas czytałem. Cóż, czekające na mnie kontynuacje kolejnych serii z działu literatury młodzieżowej, choć niewątpliwie w większości niezmiernie ciekawe, nie wystarczają już do zaspokojenia mojego czytelniczego głodu. Potrzebuję znaleźć sobie coś nowego, coś, co na nowo mnie wciągnie i jeszcze raz sprawi,

że cały dzień będę tylko czekał na moment, kiedy rozpocznę czytanie. Najlepiej jakąś serię, bo nie lubię, gdy opowieść za szybko się kończy.

Poszukiwania nowego czytadła rozpocznę. Jak tylko skończę z kontynuacjami już czytanych serii.

kam193

Koniec wolnego dla studenta przypada później – dodatkowe dwa miesiące na czytanie książek. Ale, ale... dlaczego w najdłuższe z możliwych wakacji nie udało mi się przeczytać tylu książek, żeby nie było mi wstyd?

Wolne dni szybko minęły i nadszedł czas rejestracji na przedmioty. Prawdziwie heroiczne procytelnicze akcje, to moje nie trwające zbyt długo próby odwyku od komputera. Udawało się wtedy, kiedy było naprawdę gorąco lub kiedy wyjeżdżałam do Warszawy i zostawiałam laptopa w domu. Według mnie to właśnie komputer i Internet są głównym źródłem problemów z czytaniem – oczywiście poza moim lenistwem. Bardzo łatwo się zatracić w sieci, mnie czas schodzi głównie na poszukiwaniu różnych informacji i rozmowach lub czekaniu, aż ktoś się pojawi na czacie.

A przecież trzeba się rozwijać! Czytać! Myśleć! Do realizowania tych nadzwyczaj ważnych czynności niezbędne są książki, czasopisma, podręczniki. Nie mogę powiedzieć, że czytałam bardzo mało – starałam się regularnie sięgać po nowe książki i tak udało mi się pochłonąć kilka bardzo ciekawych pozycji.

Najwcześniej zabrałam się za powieści Jane Austen w oryginale: „Pride and Prejudice” oraz „Sense and Sensibility” (tę ostatnią nie w całości – musiałam oddać książkę wcześniej, bo, niestety, likwidowano bibliotekę, z której ją

wypożyczyłam). Następnie zapoznałam się z pożyczonymi i poleconymi dziełami: dwoma tomami „Kłamacy” Jakuba Ćwieka oraz „Kamienną Ćmą” Pawła Matuszka. Później dokupiłam część trzecią serii Ćwieka, szybciotko przeczytałam, ale na czwartą chwilowo nie miałam czasu ani pieniędzy. Nabrałam też ochoty na oryginalną wersję serii J.K. Rowling i wgryzłam się w „Harry Potter and the Half-Blood Prince”. Posiadam także siódmą część serii po angielsku, ale widocznie coś nie pozwoliło mi zacząć lektury. W lipcu lub sierpniu otworzyłam w końcu „Obywatela, który się zawiesił” Rafała Kosika, którego dostałam na święta (ach, ta klasa maturalna!). W czasie trwania Polconu skusiłam się na „Głos Lema” Powergraph’u i większość opowiadań dosłownie pożarłam, ale jedno z ostatnich w zbiorze zmęczyło mnie na tyle, że odłożyłam antologię na chwilę. Ostatnią książką, którą udało mi się przeczytać w wakacje (wrzesień) był „Pan Lodowego Ogrodu” Jarosława Grzędowicza.

Regularnie czytuję pismo hiszpańskojęzyczne „¿Español? Sí, gracias”. Poza tym w te wakacje wybrałam się na polowanie – ofiarą stały się powieści napisane w języku angielskim. Udało mi się nabyć „Jane Eyre” Charlotte Brontë, „Mansfield Park” Jane Austen oraz „Tender Is The Night” F. S. Fitzgeralda. Zamierzam się za nie zabrać w najbliższym czasie. Poza tym w promocji „3 za 2” w EMPIK-u kupiłam dwa tomy wspomnianego wcześniej „Pana Lodowego Ogrodu” oraz antologię Powergraph’u „Science Fiction”. Dodatkowo zaangażowałam się w projekt „Głos Kosika”

i spędziłam wiele godzin (dni, tygodni), szlifując i poprawiając mój tekst, wymyślając i wstukując nowe rozdziały.

Wszystkie książki, które zdołałam przeczytać w ciągu wolnych od zajęć miesięcy, przypadły mi do gustu. Zakochałam się w Jane Austen (aż wstyd, że dopiero teraz), przypomniałam sobie styl Rowling, zauważyłam, że z reguły bardziej podobają mi się powieści, szlifowałam swój angielski. Nie powtórzyłam serii FNiN, głównie dlatego, że poszczególne części rezydowały na obcych półkach – zwerbowałam kolejnych dwóch fanów. Koleżanka została już notowaną felixomanką, więc mogę być dumna.

Mimo tego, nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż nie czytałam tyle, ile powinnam. Tak, mam taki wewnętrzny licznik, który podpowiada mi, iż 10 (jeśli dobrze policzyłam) książek przez cztery miesiące to nie jest spektakularny wynik. Na swoją obronę: tuż przed maturą wciągnęłam trylogię „Igrzyska Śmierci”, „Utopię” Tomasza Morusa i starałam się zapamiętać jak najwięcej szczegółów lektur, więc nie zagłębiałam się w nowości. A po maturze... każdy, kto ma ten egzamin za sobą, wie, że przez miesiąc chce się tylko leżeć przed komputerem i oczyszczać umysł z niepotrzebnej (chwilowo) wiedzy.

Jednakże nie usprawiedliwiam się (już więcej). Obiecuję się postarać w przyszłym roku. Obecnie studiuję filologię angielską i na brak lektur na pewno nie będę narzekać, także nic straconego.

A ty zrobiłeś już książkowy rachunek sumienia?

FNiN_addict

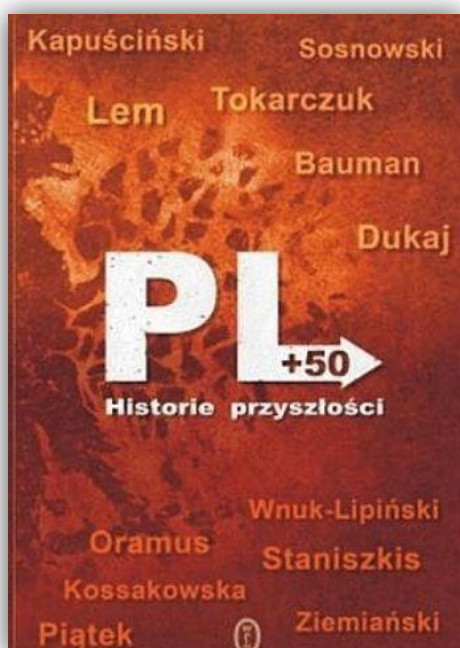
KSIĄŻKI I RECENZJE

Co będzie za 50 lat? A później?

Książka ta została wydana w roku 2004 i jej głównym celem, co zresztą można wywnioskować z tytułu, jest przedstawienie wyglądu Polski i świata za 50 lat. Mimo różnic, wizje wszystkich autorów łączy jedna wspólna cecha: przedstawiają albo niezwykle szybki rozwój albo upadek naszego kraju. Niektóre z nich wydadzą się czytelnikowi bardziej prawdopodobne od innych, wszystkie są jednak bardzo ciekawe – czyta się je z przyjemnością i zainteresowaniem. Osobiście miałem problem, żeby przebrnąć przez opowiadanie Zbigniewa Baumana, który podszedł do sprawy w sposób nieco filozoficzny, niezbyt dla mnie zrozumiały.

Trudno ocenić książkę, jako całość: opowiadania w niej zawarte są bardzo różnorodne. Muszę jednak przyznać, że zarówno pomysł jak i wykonanie były znakomite. Widać, że autorzy przyłożyli się do swoich wizji przyszłej Polski. Niektóre z nich mogłyby być początkami książek ponieważ są wielowątkowe, a tematy nie zostały wyczerpane.

Nawet jeśli nie jesteś wielkim fanem science fiction to warto, żebyś przeczytał tę książkę. To niesamowita pozycja, obok której nie można przejść obojętnie.



Na co jeszcze czekasz? Leć do biblioteki! A, jeszcze jedna uwaga: książkę kupicie tylko na Allegro, a w bibliotekach często jest tylko jeden egzemplarz. Jej zdobycie może nie być proste, ale czego się nie robi dla literatury... zwłaszcza takiej.

Tytuł: PL+50 Historie przyszłości

Autorzy: Maciej Dajnowski, Bartek Świdorski, Andrzej Zimniak, Maciej Żerdziński, Łukasz Orbitowski, Maja Lidia Kossakowska, Olga Tokarczuk, Jerzy Sosnowski, Karol Maliszewski, Cezary Domarus, Andrzej Ziemiański, Marek Oramus, Barnim Regalica, Jacek Dukaj, Jarosław Grzędowicz, Daniel Odija, Tomasz Piątek, Edmund Wnuk-Lipiński, Lech Jęczynek, Zygmunt Bauman, Jadwiga Staniszkis, Ryszard Kapuściński, Stanisław Lem.

Wydawnictwo: Wydawnictwo Literackie

Rok wydania: 2004

Moja opinia: Książka, którą musisz przeczytać; jest niezwykła, skłania do refleksji i zastanowienia: dokąd ten świat zmierza?

drzewo148

Co by było gdyby...

nagle wybuchła wojna?

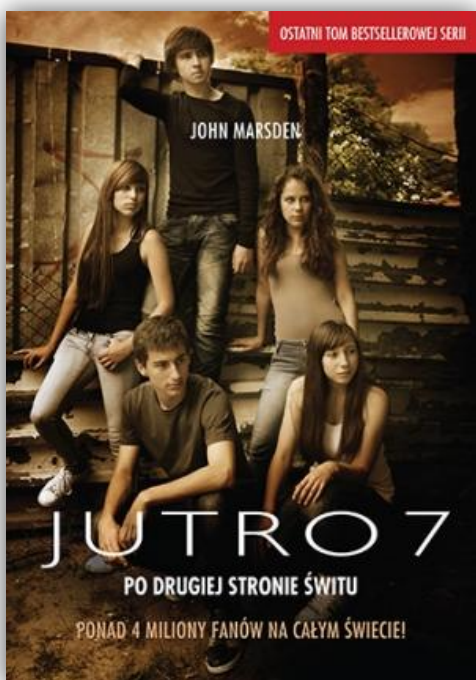
Tak bez zapowiedzi, bez żadnego wydarzenia, które by dawało odczuć, że coś jest nie tak, że istnieje jakiegokolwiek zagrożenie. Kładziesz się spać w wolnym kraju, a budzisz się, gdy wkoło Ciebie spadają bomby, a obce wojsko wkracza do miasta. Jak zachowają się nastolatki, tak szybko wchodzący w dorosłość? Wczoraj wygłupiający się ze znajomymi, a dzisiaj zmuszeni do zabijania ludzi.

Seria "Jutro" australijskiego pisarza Johna Marsdena opowiada historię kilkorga zwykłych australijskich nastolatków, którzy wyjeżdżają na kilka dni do lasu. Po powrocie nie zastają nikogo w domach. Stopniowo zaczyna do nich docierać co się stało. Prawda okazała się okropna – nieznaną bliżej azjatycki kraj bez ostrzeżenia zaatakował ich ojczyznę. Od tej chwili zaczyna się wielka, pełna niebezpieczeństw i śmierci przygoda.

Tak wygląda ogólny zarys fabuły serii, której najnowsza część nosząca tytuł "Jutro 7. Po drugiej stronie świtu" miała niedawno polską premierę.

Ostatni tom, a więc jak nietrudno się domyślić, koniec wojny. Kto jednak myśli, że od teraz będzie miło, fajnie i przyjemnie, bardzo się myli. Ta książka, a wraz z nią cała seria, nie znosi happy endów. Życie po wojnie wcale nie jest takie proste; ogromne zniszczenia, obcy ludzie mieszkający na (kiedyś) naszej ziemi. Relacje między przyjaciółmi też nie są takie jak dawniej. Wojna nieodwracalnie ich zmieniła.

Książkę czyta się z przyjemnością, akcja jest wartka, pozbawiona zbędnych opisów. Problemy i rozterki, które przeżywają bohaterowie są podobne do tych jakie ma każdy nastolatek. Mimo wojny muszą zmierzyć się z podobnymi przeciwnościami co ich realni rówieśnicy.



Czytając którąkolwiek książkę z serii "Jutro" nasuwa się pytanie: Co sami zrobilibyśmy na miejscu bohaterów? Poszlibyśmy walczyć? Schowali się w lesie i czekali aż ktoś nas wyzwoli? Poddali bez walki? Jaka by dzisiaj nie była nasza odpowiedź i tak w obliczu wielkiego zagrożenia działalibyśmy pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

A, żeby daleko nie szukać, wystarczy sięgnąć do ubiegłego wieku. Powstanie Warszawskie, w którym walczyło wiele nawet młodszych niż my osób. Oni potrafili stanąć w obronie Ojczyzny? Miejmy nadzieję, że taka sytuacja się

już nigdy nie zdarzy w naszym kraju, żebyśmy nie musieli zadać sobie tego pytania: czy jestem gotów się poświęcić w imię ideałów, w imię Ojczyzny?

Siódmy tom "Jutra" to bardzo dobra książka, świetnie opisująca realia życia nastolatków mimo tego, że została napisana w latach 90. Bardzo chciałbym, żeby większość czytających potrafiła wziąć przykład z bohaterów. A nawet bardziej, żeby nigdy nie musiała tego robić.

drzewo148

„Rozwiązda” Peter Watts – czyli jak współczuć bohaterowi pedofilowi

Hard science fiction nie jest szczególnie poważanym i popularnym gatunkiem, ba – śmiało można rzec, że jest to gatunek niszowy.

Dlaczego?

A jak myślisz, Czytelniku, czy "gatunek fantastyki naukowej, kładący nacisk na szczegółowe opisy naukowe i techniczne" może być czytany przez miliony?

Cóż, miliony niech pozostają przy swoich banalnych *Świtach*, *Zmierzchach*, oraz książkach kucharskich, ja zaś polecam z całego serca jedną z najciekawszych powieści SF jakie dane mi było ostatnio przeczytać, jednego z najlepszych autorów gatunku jakiego dane mi było poznać.

Już sam opis fabuły, umieszczony z tyłu mrocznej okładki, intryguje. *Rozwiązda* opowiada – najprościej rzecz ujmując – o losach pracowników podmorskiej elektrowni (tzw. ryfterów) umieszczonej kilka kilometrów pod powierzchnią Pacyfiku; „zatrudnienie znajdują ci, których przeszłość wstępnie przystosowała do niebezpiecznych środowisk; ludzie do tego stopnia przyzwyczajeni do obrażeń cielesnych i chronicznego stresu, że przebywanie na skraju podwodnego wulkanu staje się w ich przypadku swoistym postępem”.

Innymi słowy, Czytelniku, będziesz musiał sympatyzować z ludźmi bitymi, gwałconymi, bijącymi i gwałcącymi, ale o tym za chwilę. Sytuacja komplikuje się, gdy ta radosna, nie zrównoważona emocjonalnie gromadka

odkrywa na dnie coś, co bardzo drastycznie ich zmienia, i może zmienić całą planetę...

Poprzez wypalenie jej i zbudowanie na jej gruzach nowej, kosztem miliardów istnień.

Powyższy opis jest niestety enigmatyczny, ale sięgając po to dzieło nie sięgasz po prostą w lekturze – i optymistyczną – historijkę.

To, co uderza od pierwszej strony, to absolutnie niesamowity klimat, sposób narracji i prowadzenia fabuły. Zaczynając lekturę, spodziewałem się, że powieść o maltretowanych psychicznie ludziach odkrywających straszną tajemnicę na dnie mrocznej, paskudnej otchłani, nie będzie milutka, ale zostałem na tym polu rozłożony na łopatki.

Atmosfera w książce jest mroczna, ponura, zdehumanizowana i lodowata – tak paskudna, że niesamowicie intrygująca i piękna. Idziesz ciasnym korytarzem, między cienkimi ściankami odgradzającymi Cię od otchłani oceanu, wśród odpychających ludzi, dla których jesteś równie odpychający, a na domiar złego, czujesz, że dzieje się z Tobą coś bardzo dziwnego.

I jesteś bardzo, bardzo, bardzo samotny.

Bo *Rozgwiezda* jest w dużej mierze opowieścią o osamotnieniu cierpiącego człowieka, i udowadnia talent Watta w dziedzinie konstruowania psychologii bohaterów. Obsługa owej stacji, to ludzie z niezasklepienymi ranami psychicznymi, ludzie nienawidzący samych siebie i siebie nawzajem; mamy tu pedofila, brzydzącego się samego siebie, agresywnego faceta nieznaczącego emocjonalnie, kobietę będącą w dzieciństwie molestowaną przez ojca, i tym podobnych przyjemniaczków.

A mimo to, nie sposób im nie współczuć. Watta ukazuje świat z - niezrozumiałej dla większości ludzi – perspektywy osoby uszkodzonej psychicznie, świadomej swojej ułomności. I zaczynasz, współczuć temu pedofilowi, toczącemu skazaną na klęskę walkę wewnętrzną, zniechęconego przez wszystkich; przede wszystkim dlatego, że jest samotny.

Kolejne oklaski dla Watta – za mistrzowskie ukazanie, jak człowiek może być nieprawdopodobnie wyalienowany, będąc

otoczonym przez innych ludzi. Każdy z bohaterów, czy jest to zaprawiony w walce z własną psychiką ryfter, czy otoczony nieufnością i wrogością psychiatra, czy szefowa korporacji stojąca przed wyborem między większym a mniejszym złem, czy też sztuczna inteligencja – każdy z nich jest zupełnie SAM. W *Rozgwieździe* fascynuje wyzucie z ciepła ludzkich relacji, bliskości, zaufania, czułości, zachwyca w szalony sposób zupełnie zdehumanizowana atmosfera wzajemnych antagonizmów i strachu. Jedyna ciepła więź międzyludzka powstaje wskutek działania Tajemniczego Złego...

Czym jest Tajemniczy Problem, mogący doprowadzić do zagłady całą planetę, nie zdradzę, powiem tylko, że za to również należą się Wattersowi oklaski. Za stopniowe wprowadzanie do fabuły Niepokojącej Tajemnicy, jej oryginalność i realizm, ale przede wszystkim za to, że – paradoksalnie – to właśnie to Zło tworzy więź empatii między ryfterami, i uczucia, których tak bardzo potrzebują.

Najlepsze jest w tym to, że jest ono obce i nieludzkie, a mimo to czyni bohaterów znacznie bardziej ludzkimi istotami, od tych, którymi były wcześniej... Choć wciąż są sobie obce, tylko na inny sposób.

Zło nie jest złem do końca, i na tak banalne określenie nie zasługuje. To raczej coś nowego, być może znacznie wspanialszego i lepszego od porządku, który burzy – ale burzy go za cenę straszliwej katastrofy. Tu Watta przechodzi do swojej ulubionej problematyki moralnej i filozoficznej; w książce obserwujemy ścieranie się ludzkich postaw i racji, na tle których rozgrywają się moralne dramaty i problemy. Czy istnieje mniejsze zło? Ile można poświęcić, dla ratowania ogółu? I czy ten ogół w ogóle powinno się ratować? W *Rozgwieździe* nie ma postaci jednoznacznie dobrych, ani złych – i tu znów brawa, że niemal każda z nich równocześnie budzi w czytelniku wstręt i zrozumienie. Ale to drugie chyba jednak bardziej, bo czytelnik widzi, jak nieszczęśliwymi istotami są ludzie w książce.

Jak wielką cenę powinno się płacić, by uratować tą nieszczęśliwą, chorą

wewnętrznie, skłóconą, samookaleczającą się ludzkość?

Jako miłośnik nauki, byłem zachwycony znawstwem autora w dziedzinie oceanologii, neurobiologii i biologii w ogóle, dziwnych stworzeń dna Pacyfiku (opisywanych w niemal turpistycznej konwencji), a także jego nowatorskimi, fascynującymi konceptami, jak manipulowanie ludzką psychiką za pomocą chemii, i sztuczne inteligencje mające postać „inteligentnych żeli”.

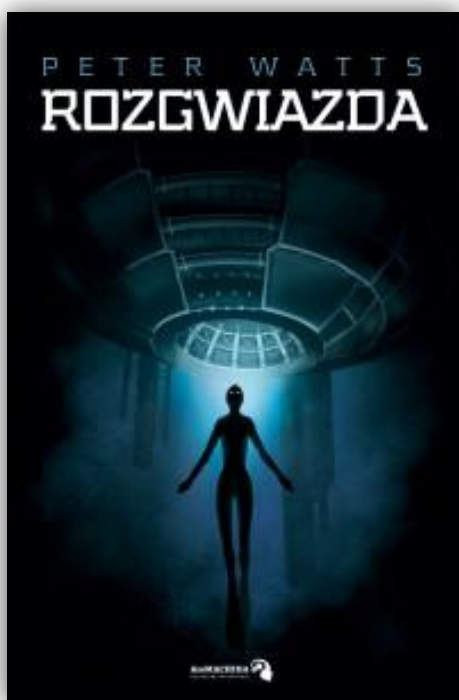
„Inteligentne żele”, przewijające się przez całą książkę i w kluczowym momencie wtrącające swoje trzy grosze do kulminacji fabuły, zasługują na osobną wzmiankę – jako odrębni bohaterowie utworu.

O zupełnie innej niż homo sapiens logice, postrzeganiu świata, wartościowaniu moralnym (zwłaszcza tym!), równie obce i nieludzkie jak ludzie świata *Rozgwiadzy*...

Warto jednak dodać, że naukowe i techniczne opisy mrocznego świata nie przesłaniają najważniejszego – fabuły i postaci.

Na co czekasz? Jeżeli nie przeraziła Cię moja zagmatwana recenzja, leć czym prędzej do sklepu po nieskończenie bardziej szalone arcydzieło SF, jakim jest *Rozgwiadza*. A potem po kolejne tomy cyklu, który zapoczątkowuje; to książka naprawdę piękna; okrutna – i piękna.

KamcioKowal



„Pamięć absolutna” - przymknij oko, a będziesz się dobrze bawił

Czekałem na ten film odkąd tylko zobaczyłem jego zwiastun w Internecie, a było to jakiś tydzień przed polską premierą. Wydał mi się bardzo ciekawy głównie ze względu na fabułę oraz efekty specjalne. I na tym się nie zawiodłem. W dniu polskiej premiery popędziłem do kina obejrzeć ten film. Wrażenia? Ogólnie tylko lub aż niezły, chociaż niektóre jego aspekty doprowadzono do perfekcji. Bez wątpienia tak jest z fabułą, która wciąga i trzyma w napięciu aż do ostatniej chwili. Pomaga temu wartka akcja, która, chociaż pozbawiona licznych zwrotów, czasem potrafi zaskoczyć.

Jedynym, poza wymienionymi, plusem są jeszcze dobre i (poza wybuchami) nieprzesadzone efekty specjalne. A co z aktorami? Odtwórcą głównej roli jest Colin Farrell – nie oglądałem innych jego filmów, lecz w tym wypadku dobrze i grał bardzo autentycznie; w jego "żonę" wcieliła się Kate Beckinsale, niemogąca się niestety pozbyć sztuczności. Ważną postacią jest również Jessica Biel znana z filmu "Next", również ciekawie odgrywająca swoją rolę. Pozostała obsada też nie pozostawia nic do życzenia, chociaż w większości są to aktorzy nieznanymi szerszej publiczności.

Niestety jest coś, co trzeba uznać za wielki minus: wiele rzeczy nie trzyma się kupy. Podam najbardziej rażący błąd, których było naprawdę sporo: Douglas vel Hauser razem z Meliną wychodzą z pędzącego Zjazdu (rodzaj windy). Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie to, że Zjazd jedzie przez środek Ziemi z Australii do Wielkiej Brytanii (wg map realnych, bo w filmie nazwy krajów były inne, ale mniejsza o to), pokonuje tę trasę w ciągu 17 minut – przy założeniu 10 000 km odległości w linii prostej między tymi krajami co w przybliżeniu daje średnią prędkość rzędu 35 000 km/h. Całkiem szybko, nieprawdaż?

Jednak jeśli przymknie się oko na błędy podobne do podanego oraz niemałą ilość pomyłek logicznych to film jest naprawdę dobry. Aczkolwiek suma sumarum i tak daję mu tylko 6/10. Ach te dzisiejsze filmy, zawsze trzeba na coś przymykać oko...

drzewo148

AMATORKA RADZI

Jak pisać?

W głowie roi ci się mnóstwo pomysłów i tak natarczywie obijają się o wnętrze czaszki, że chciałbyś je uwolnić? Jest druga w nocy, a ty, mimo potwornego zmęczenia i świadomości, że musisz jutro wstać morderczo wcześniej, wymyślasz akcję powieści, którą chciałbyś kiedyś wydać? Gratulacje, masz zadatki na pisarza.

W ramach mojej nowej kolumny zamierzam udzielać porad na różne frapujące tematy. Są to porady amatorskie – oznacza to, że słuchacie się mnie na własną odpowiedzialność. Jednak z opisywanej dziedziny zawsze będę posiadać jakieś doświadczenie i chętnie się nim podzielę. W tym numerze udzielę paru wskazówek odnośnie tworzenia tekstów prozatorskich.

Przede wszystkim musisz hodować w swojej wyobraźni wiele pomysłów, w moim przypadku jest ich tak dużo, że nie zdążę ich spisać (z czystego lenistwa), a one już opuszczają mój przeładowany umysł. Boisz się jednak, że jesteś za młody, zbyt niedoświadczony, nieśmiały lub nie wiesz jak zaprezentować się szerszej publiczności? Prawdopodobnie słusznie się martwisz niewielkim stażem, gdyż często od tzw. „wyrobienia” zależy Twój styl i pisarska ogłada. Jednak pamiętaj: dla chcącego nic trudnego! Przestań przewijać demoty, porzuć kwejka, zanurz się całkowicie w świecie książek lub dobrego kina, opanuj do perfekcji gramatykę języka, w którym zamierzasz pisać i zabierz się do pracy!

Każdy z nas ma określone preferencje i najczęściej pisze „pod siebie”. Oznacza to, że tekst powinien podobać się przede wszystkim autorowi – to twórca tekstu jest jego pierwszym krytykiem i korektorem. Nigdy nie pisz wbrew sobie lub swoim przekonaniom. Nie chodzi o to, że jeśli jesteś katolikiem, to nie możesz pisać o agnostyku. Znaczący to tylko tyle, że nie powinno się tworzyć na siłę, zgodnie z panującymi trendami, modą. Co z tego, że w literaturze królują teraz wampiry i wilkołaki! Pisz, nawet o pozornie zwykłej Ani Nowak, której niekoniecznie zdarzają się przygody z zakochanymi brokatowymi wampirami.

Zakładam, że wielu czytelników Magazynu fascynuje fantastyka, science-fiction oraz gatunki pokrewne. Aby pisać hard SF potrzeba

nie tylko oszlifowanego stylu, ale także wiedzy. Sam pan Rafał Kosik na Polconie zdradził, że nie napisze książki, pracując na komputerze odłączonym od Internetu (co, podobno, pomaga się skupić), gdyż wiele rzeczy musi sprawdzać od razu – w innym razie zapomni i przez to rozwleka się cały proces. Modus operandi Rafała Kosika nie każdemu będzie odpowiadać. Przyznam szczerze, że czasem trudno się skupić na pisaniu, kiedy w innej zakładce miga mi powiadomienie o nowej wiadomości na znanym portalu społecznościowym. Często puszcza głośną, energetyczną muzykę i biorę się do tworzenia. Ponieważ nie jestem wszechwiedząca, muszę sprawdzać jak coś działa, czy zgodnie z prawami fizyki możliwe jest zaistnienie opisywanej przeze mnie sytuacji, czy nie popełniłam błędu stylistycznego. Nie bójcie się swojej niewiedzy! Starajcie się ją stopniowo zmniejszać, a Wasze teksty zaczną emanować elokwencją i erudycją. Cóż więc należy robić, aby dobrze pisać? Nie popełniać grzechów głównych grafomana.

Po pierwsze: naucz się jak pisać, dopiero potem pomyśl o czym pisać. Dobór tematu jest równie ważny, jak gruntowna znajomość zasad pisowni, ale nawet jeśli przeżyłeś coś niesamowitego i pragniesz to opisać, nie dołączasz przekazać swoich wrażeń tak, by zahipnotyzować i oczarować potencjalnych czytelników.

Po drugie: nie kopiuj. To chyba jedna z najważniejszych zasad. Oczywiście, warto czerpać z dorobku innych pisarzy, sugerować się ich stylem, ale nie wolno go ślepo odwzorowywać. Dlaczego? Dlatego, że nie jesteś i nigdy nie będziesz pisał dokładnie tak, jak tamten autor, a zatracisz swój styl. Każdy pisze w szczególny dla siebie sposób, który przy odrobinie szczęścia, ogromie zapału i ciężkiej pracy stanie się rozpoznawalny. Skoro jesteśmy już przy kopiowaniu, to warto wspomnieć o fanfiction. Jeśli nie masz jeszcze na tyle odwagi, by przelewać na papier osobowość opracowanych przez siebie postaci, zawsze możesz skorzystać ze znanego ci tzw. „kanonu” danej książki. Wówczas wymyślasz tylko własną akcję, bo bohaterowie i środowisko „pożyczasz” od danego autora. Jednak pisząc fanfiction trudno znaleźć sobie czytelników spoza konkretnego fandomu, co znacznie

zmniejsza szanse, by zostać zauważonym. Jednakże zdarzyły się pojedyncze przypadki, kiedy autor serii książek wyraził zgodę na publikację kilkutomowego (sic!) fanfiction i nie chciał czerpać z tego tytułu żadnych korzyści finansowych. Osobiście proponowałabym, abyś ćwiczył, pisząc fanfiction, a gdy już odnajdziesz swoją drogę, pozostawił ten sposób tworzenia na rzecz tworzenia we własnym stylu.

Po trzecie: czytaj. Jeżeli zamierzasz zacząć pisać, musisz mieć wyrobione zdanie na temat poszczególnych gatunków literackich (nie wszystkich od razu, spokojnie), aby wiedzieć, w czym czujesz się najlepiej. Początki bywają trudne, zwłaszcza jeśli chodzi o literaturę SF. Znajomość praw fizyki, najnowszych technologii oraz prac Asimova czy Lema są niemal nieodzowne do swobodnego poruszania się tym nurcie. Warto więc nie zasypiać na lekcjach, ale także przeglądać prasę popularnonaukową (stricte naukowe prace mogą się okazać trudne do przyswojenia), zrobić rozeznanie w gatunku, zagłębić się w nieznaną szerszej publiczności filmy.

Po czwarte: nie zamykaj się na inne rodzaje literackie. Poezja uszlachetnia, rozsmakuj się w jej kunsztownej formie. Nie zniechęcaj się po wałkowaniu oświeceniowców czy romantyków na lekcjach języka polskiego. Poszukuj wierszy, które do Ciebie przemawiają. Osobiście polecam poezję lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, do mnie przemawia najbardziej. Dramaty pozwalają natomiast zrozumieć, jak ważne są dialogi oraz kształtują poczucie humoru (mówię oczywiście o komediach, zwłaszcza farsach).

Po piąte: przyjmij krytykę. Z tym największy problem mają początkujący twórcy. Według nich tekst jest idealny, broń Boże wytknąć im jakiś źle postawiony przecinek! Dlatego najlepiej znaleźć sobie krytyka-betę, może to być zaufana koleżanka, babcia lub brat. Ważne, żeby był względnie odczytany, uczciwy i inteligentny. Dając takiemu recenzentowi tekst do przeczytania, ewaluacji i zbetowania, uchronicie się od gradu nieprzychylnych komentarzy na forum.

Po szóste, siódme i ósme: czytaj swój tekst, dopieszczaj go, nie wrzucaj od razu do sieci. Wiem, że niecierpliwisz się, by usłyszeć pierwsze opinie na temat swojej pracy. Nie oznacza to jednak, że masz prawo wrzucić tekst niespójny i okaleczony ortograficznie lub stylistycznie, a potem rozczulać się nad swoją niedolą. Been there, done that. Większość

komentujących (jeśli pisze pełnymi zdaniami i używa znaków przestankowych) rzeczywiście stara się pomóc autorowi i wskazać niedociągnięcia. Warto się sugerować ich poradami i zostać naczelnym krytykiem swoich tekstów.

Po dziewiąte: wszystko szkodzi w nadmiarze. Nie używaj dwudziestu przymiotników do określenia każdego rzeczownika czy dziesięciu przysłówków, aby dopełnić czasownik. Nie staraj się na siłę skomplikować sytuacji romantycznej bohatera, nie wrzucaj Jedi, Batmana, Pikachu, Harry'ego Pottera i Ani z Zielonego Wzgórza do jednego opowiadania. Wystrzegaj się sienkiewiczowskich opisów oraz sztucznie podtrzymywanych dialogów. Jeśli zaczynasz grafomanić, wstań, zrób serię ćwiczeń, zjedz coś pożywnego, przypomnij sobie, że pisałeś i dopiero wtedy wróć do tego zajęcia.

Ostatnia zasada, której warto się trzymać, może brzmieć kontrowersyjnie, ale jeżeli chce się zostać pełnoetatowym pisarzem, będzie się trzeba do niej stosować. Brzmi ona następująco: pisz nie tylko wtedy, kiedy masz gotowy pomysł. Nie znaczy to, że masz pisać wbrew sobie – tak nigdy nie osiągniesz sukcesu. Jednak wielu ludzi pozostaje pod mylnym wrażeniem, iż musimy doznać objawienia, aby rozpocząć proces twórczy – najlepiej podczas pełni Księżyca. Cóż, prawdziwe życie wygląda nieco inaczej i ustalenie pewnych zasad oraz przestrzeganie narzuconego sobie rygoru odgrywa ogromną rolę. Dlatego osobiście bliżej mi do klasycystycznego ideału twórcy-rzemieślnika, który siada do pracy i tworzy nie zawsze wtedy, kiedy lekki powiew weny rozwieje mu włosy. A to dlatego, że w trakcie pisania przychodzi do głowy wspaniałe pomysły na rozwiązanie akcji lub rozpoczęcie nowego wątku. Dopiero gdy zaczniesz pisać, w twojej głowie powstanie spójny obraz, który postarasz się oddać na papierze.

Oczywiście nie jest to od razu cała powieść, ale zarys wydarzenia, strony czy rozdziału. Nie martw się jednak, jeżeli nie trzymasz się dokładnie wytycznych. Pisarze pracują nad tym prawie całe swoje życie.

Pióra, ołówki, długopisy, klawiatury w dłoń! Zabierzcie się do pracy, zanim praca zabierze się za was. Nie zapominajcie przy tym dobrze się bawić i czerpać przyjemność z pisania, jak również czytania swoich dzieł. Pokochajcie pisanie, a ono odwdzięczy wam się stokrotnie.

FNiN_addict

W CYLINDRZE PRZEZ ŚWIAT

Podróże: instrukcja obsługi

Czy pan Fogg podróżował? Było to rzeczą bardzo prawdopodobną, bo nikt, tak jak on, nie znał się na mapie. (...) Wyglądało na to, że Fileas Fogg przemierzył całą ziemię, przynajmniej w wyobraźni. Jedno nie uległo wątpliwości: od wielu lat nie opuszczał Londynu.

Juliusz Verne

„W osiemdziesiąt dni dookoła świata”

Nie każdy może zostać Kapuścińskim, Cejrowskim, czy Halikiem. W końcu nie jest wcale prosto sprzedać swoją lodówkę, żeby ruszyć w niekończącą się podróż... A może jest? Może większe znaczenie niż to czy jedziemy do Katowic czy do Kuala Lumpur, ma to jak i po co chcemy tam dotrzeć. Może granica oddzielająca turystykę od podróżowania wcale nie jest tak daleka?

Nie, nie, nie należę do tych ludzi, którzy chcą Wam wmówić, że podróżowanie to tylko stan umysłu. Wymaga ono wysiłku i ryzyka przekraczającego zapłacenie za wycieczkę w biurze podróży... Ale nie jest niczym niedostępnym dla każdego śmiertelnika. W tym otwierającym cykl artykule, chciałbym opisać kilka najprostszych sposobów na przeżycie przygody swojego życia.

W ten sposób możesz bracie przejechać Europę...

Klasyka – wychodzimy na drogę i machamy ręką, zwyczajowo z wyciągniętym kciukiem. I zupełnie za darmo możemy jechać w nieznaną, zazwyczaj z ludźmi, którym NFZ powinien zafundować psychologa (a co niektórym to nawet psychiatrę) – w myśl niepisanej zasady „kto normalny bierze ludzi na stopa”. Nie wymaga żadnego większego przygotowania – warto wprowadzić kurtkę przeciwdeszczową, buty na zmianę i osobę płci przeciwnej (podróżowanie w parach koedukacyjnych jest najwygodniejsze).

Bynajmniej nie chcę dowodzić, że auto-stop jest pozbawiony wad. Przede wszystkim utrudnia zaplanowanie podróży – zazwyczaj nie

czeka się na zatrzymanie samochodu dłużej niż piętnaście minut, ale zdarza się stać bezradnie ponad godzinę. W deszczu. Z dala od cywilizacji. Cóż, na tym właśnie polega przygoda. Kolejnym problemem są dwukilometrowi kierowcy – moim rekordem jest pokonanie trasy Olsztyn-Poznań dziewięcioma samochodami. Jazda, mimo, że odbywała się niemal bez przerwy, przy tulu przesiadkach zajęła siedem godzin.

Mimo to bardzo przyjazna (bo wynosząca aż nic) cena, a przede wszystkim możliwość poznania dążącej do nieskończoności liczby fascynujących ludzi i ich, często depresyjnych, historii jest warta poświęcenia każdego czasu. Poza tym ilekroć podróżuję za darmo towarzyszy mi to niezwykle uczucie, że mogę dojechać absolutnie wszędzie.

Surfowanie na kanapie

Dobra, po trudnej podróży dojechalibyśmy nareszcie do wymarzonego celu. Tylko gdzie spać? Tradycyjnym wyposażeniem autostopowicza jest namiot (przy dłuższych wyprawach bywa przydatny), ale ile nocy można spędzić na trawie, bez pryszniców? Z oczywistych względów (sprzedaliśmy lodówkę, żeby wyruszyć w podróż) nie możemy pozwolić sobie na nocleg w hotelu... A gdyby tak zatrzymać się w domu miejscowego? Nic prostszego, wygodniejszego i ciekawszego. Wystarczy planując podróż odwiedzić stronę www.couchsurfing.org i wysłać „requesta” do interesującej nas osoby (choć może być to niekulturalne polecam wysyłanie kilku requestów na raz, jest niemal pewne, że dwie na trzy osoby nie będą mogły nas akurat przyjąć).

Kiedy już otrzymamy potwierdzenie, że mamy gdzie spać (nie zapomnijmy o numerze telefonu!) możemy spokojnie ruszać w podróż. Nie zdarzyło mi się jeszcze, by zaklepany już „host” miał problemy z przyjęciem „surfera” – chociaż co bardziej szaleni kanapowicze gospodarze zapominają czasem ile osób zaprosili. Spanie pokotem na podłodze

z osobami z całego świata nie jest wcale rzadkie.

Nie trzeba się przejmować, jeżeli sami nie możemy przyjmować innych couchsurferów – nie jest to obowiązkowe, ani nawet oczekiwane. Dla osób nie posiadających własnych czterech ścian przewidziany został status „kawa/herbata” – oznacza on, że jesteśmy gotowi spotkać się z przyjezdnymi lub oprowadzić ich po naszym mieście. Tym, którzy mają jednak otwartych rodziców, lub mieszkają na stacji, zdecydowanie polecam „hostowanie” – można, nie ruszając się z domu, zwiedzić całkiem spory kawał świata, słuchając tylko opowieści gości.

Pracując za doświadczenie

Jeżeli mamy trochę więcej czasu, i niestety również pieniędzy, możemy pokusić się o dogłębne poznanie obcej kultury. Wyobraźmy sobie, że przez kilka tygodni (dla bardziej szalonych kilka miesięcy) prowadzimy życie dokładnie takie jak mieszkańcy zupełnie egzotycznego kraju – Indie, Chiny, Egipt... Taką możliwość daje nam zagraniczny wolontariat.

Ci, którzy nie potrzebują bardzo odległych podróży, natomiast cenią sobie dobrą organizację, mogą zdecydować się na wolontariat europejski. Natomiast ci, którym prowizorka nie jest straszna, a marzą o odwiedzeniu najdalszych zakątków globu, mogą zdecydować się na wyjazd z jedną z międzynarodowych organizacji studenckich (największą i słynącą z największego chaosu jest AIESEC). Niestety transport na miejsce pracy musimy opłacić we własnym zakresie. Praca bardzo często nie jest lekka i zgodna z opisem, który czytaliśmy w kraju, ale... To zdecydowanie najłatwiejszy sposób na poznanie obcej kultury od wewnątrz. Po miesiącu życia w zupełnie obcym mieście, zaczynamy czuć się tam jak w domu, a po powrocie bardzo trudno przyzwycząić się do polskich standardów. Pracując w różnorodnych projektach mamy również okazję poznać rówieśników z całego świata – od Los Angeles do Władywostok.

Handel wymienny

Inną metodą na dłuższy pobyt za granicą jest wymiana. Ci szczęśliwcy, którzy są już

studentami (niestety podejrzewam, że jest ich wśród czytelników niewiele), mogą wybrać się w nieznaną nawet na rok, czy to w ramach bardzo popularnego Erasmusa, czy umów bilateralnych między uczelniami – otrzymują również zazwyczaj niewielkie stypendium. Niestety, żeby na taką wymianę pojechać, trzeba dobrze zdać egzaminy językowe, przejść przez konkurs świadectw i mieć w CV odhaczoną działalność w organizacjach studenckich.

Wymiany szkolne – choć często wiążą się z dodatkowymi kosztami, są dostępne niemal dla każdego. Zazwyczaj są rozbite na dwie dwutygodniowe części – najpierw przyjmujemy do naszej rodziny partnera, potem sami jedziemy do obcego kraju. Dzięki dofinansowaniu przez różne unijne-i-nie-tylko organizacje, w cenie wymiany mamy zagwarantowane wycieczki – również po własnym kraju. Poza tym czeka nas masa śmiesznych sytuacji związanych z faktem, że na dwa tygodnie stajemy się członkami zagranicznej rodziny.

Ach te dzieci

Ostatnim, adresowanym zwłaszcza (choć jak przekonują mnie moje koleżanki, nie tylko) do dziewczyn sposobem na tanie, a nawet dochodowe podróżowanie jest praca jako au pair. W przeciwieństwie do pozostałych propozycji jest tu dużo więcej pracy, a dużo mniej imprez. Nie poznajemy już na początku grupy niesamowitych ludzi – bach, lądujemy w bogatym kraju, u obcej rodziny, której dzieckiem mamy się od dziś zajmować.

Nie ma się jednak co przerażać tą ponurą, z pozoru, wizją. Wystarczy wyjść kilka razy „na miasto” by spotkać nowych przyjaciół. Często również nasi pracodawcy, zwłaszcza młodzi, okazują się bardzo miłymi i imprezowymi osobami.

Podróżowanie, chociaż nigdy nie okazuje się specjalnie tanie, wcale nie jest trudne. Planując kolejną wycieczkę, warto raz dobrze zrozumieć mickiewiczowską myśl i faktycznie „mierzyć siły na zamiary”, a nie jak to zwykle w życiu trzeba – zamiary na siły.

Fileas



Retrogralnia 2

Kontynuując przygodę z zapoczątkowanym w poprzednim magazynie kącikiem o wdzięcznej nazwie Retrogralnia, chciałbym wprowadzić do serii również inne gatunki gier, tak aby nikogo nie zanudzić. Mam więc nadzieję, że choć część Czytelników zawiesi na tym artykuliku oko. Pozwolę sobie na drobny rozrzut gatunkowy i odejdę od tematu strzelanek z poprzedniego numeru, a "uderzę" bardziej w gry hack'n'slash. Wyręczę Was od zgadywania, która gra sprzed około dekady była na tyle epicka, żeby tu o niej wspominać. Otóż jest to – jak pewnie wielu, szczególnie starszych wiekiem, już się domyśla – Diablo II. To dzieło stworzone przez owianą już sławą i zachwytem firmę Blizzard – twórcę takich gier jak chociażby Warcraft czy Starcraft.

Swego czasu ta licząca sobie dwanaście lat gra miała przeznaczone zaszczytne miejsce na półce każdego zatwardziałego gracza. Żeby tradycji stało się zadość, wspomnieć muszę też, że to sequel Diablo, wydanego w 1996 roku. I to udany sequel. Sam pamiętam jak z 10 lat temu cały podekscytowany biegałem po świecie Diablo aby tylko zobaczyć wysypujące się z ludzi (i nie tylko ludzi) przedmioty. Godziny znakomitej rozgrywki spędzone na tym, aby w końcu pokonać tytułowego wroga przesycone były krwią, klątwami, orężem i czym jeszcze można sobie tylko wyobrazić. Jedyne czego z pewnością nie możemy się tam spodziewać, to nudy.

W grze dostępne jest menu rozwoju postaci. Po każdym awansie na wyższy poziom możemy z niego korzystać celem rozwinięcia pewnej umiejętności, przydatnej potem w walce. Diablo oferuje nam też szeroki asortyment ekwipunku, pozwalając na używanie kryształów do umacniania broni czy innych części wyposażenia. Przejście misji jest o niebo

trudniejsze niż w dzisiejszych grach, wymaga włożenia w rozgrywkę trochę wysiłku. Ukończenie historii to kwestia ok. 10 dni aktywnego „łupania”. Co prawda fabuła pierwszej części tej serii jest istotna, ale jej nieznamość wcale nie przeszkadza nam w czerpaniu przyjemności z gry i w ogólnym zrozumieniu historii uniwersum Diablo.

Jeszcze dziś na ulicach zobaczyć możemy ostatki ludzi-upiorów, z włosami podobnymi do kosikowego Neta, podkrążonymi oczami i mózgiem wypranym od godzin spędzonych na całonocnej rozgrywce po LAN-ie ze znajomymi, w akompaniamencie napojów energetycznych. Ta gra może wymknąć się spod kontroli nieuważnym i spowodować uszczerbek na psychice oraz wyalienowanie z normalnego społeczeństwa. Trzeba być ostrożnym przy dawkowaniu tej używki, aby nie wpaść całkowicie w wir Otchłani. Efekt może być podobny do tego, co ostatnimi czasy dzieje się w świecie Minecrafta.

Reasumując, jeśli kręci Was użeranie się z niezmiernymi hordami potworów i kawał dobrej fabuły, wybierajcie Diablo II. Bez trudu odnajdziecie się w tym nieprzemierzonym świecie oraz doświadczycie niepoliczalnych godzin wspaniałej rozrywki. Nieważne czy macie 7, czy 37 lat, warto sięgnąć po tę pozycję, nie tylko po to, aby asymilować się z klasykami gatunku, ale też miło spędzić wolny czas.

Polecam z całego serca i trzymam kciuki za Wasze bojowe doznania!

Magix Slayer



FELIETONY

Nie samymi Felixami człowiek żyje, czyli o tym, że warto czasami się oderwać od książek

Ach, to uczucie cudownego oderwania od świata, te przygody, bohaterowie, w których można się zakochać lub ich znienawidzić... Czytanie to jedno z najfajniejszych zajęć, zwłaszcza na nadchodzące długie zimowe wieczory. Ale nie jedyne. Warto znaleźć inną rozwijającą umysł bądź ciało rozrywkę. Przyda się nam, drogie mole książkowe, trochę ruchu.

Możemy na przykład iść na spacer. Pewnie większość z was popatrzy na mnie z niedowierzaniem, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co ostatnio dzieje się za oknem. Ale warunkiem przyjemnego spaceru wcale nie musi być pogoda. Najczęściej wystarczy odpowiednio się ubrać. Najważniejszą rzeczą jest dobrać jakieś przyjemne miejsce (i przyjemną osobę – najlepiej ptci przeciwnej) do spacerowania, które można popodziwiać i pokontemplować, a w razie potrzeby nie przeszkadza w filozoficznych przemyśleniach na ważkie tematy związane z naszym życiem.

Ruch poprawia nasze samopoczucie i sprawność fizyczną, ogólnie wywołując bardzo ciekawe reakcje naszego organizmu, o czym możemy się dowiedzieć na lekcjach biologii. Ale można go zażywać nie tylko

regularnie uprawiając jakiś sport. Można też zaspokoić jednocześnie nasze zapotrzebowanie na przygodę i zdobyć trochę doświadczenia.

Poszukajmy zajęcia dostosowanego do naszych potrzeb i możliwości, do którego będziemy mogli zaprosić przyjaciół, albo poznać nowych. To powinno być coś, co nas nakręci! Nie bójmy się wyzwania, nowych rzeczy i kosztów (w miarę rozsądnych). A im więcej takich rzeczy znajdziemy, tym lepiej. Oczywiście większe miasta dają szerszy wybór. Bo tam na pewno znajdzie się basen, ścianka wspinaczkowa, lodowisko i grupa pozytywnie zakręconych ludzi uprawiających wszelakie sporty ekstremalne. Wypróbujmy wszystko, co zwróci naszą uwagę! Bo nie warto marnować czasu wolnego, zwłaszcza w weekend.

Czasami nawet nie zdajemy sobie sprawy, co mamy w zasięgu ręki. Warto jednak zwrócić uwagę na otaczające reklamy, przeprowadzić „wywiad środowiskowy” wśród znajomych i przeszukać Internet. To, co znajdziemy może nas zdziwić. Trzeba po prostu wykorzystać zdarzające się okazje. Jak jest śnieg, to idziemy na sanki; jak impreza, to się wpraszamy; jak jest wycieczka to jedziemy... A jak nie ma nic, to sami coś organizujemy. Nie marudźmy, tylko działajmy!

A jak już spróbujemy, to nie będziemy mogli powiedzieć, że mamy nudne życie.

Y-oda



Pseudoksiążki

Jak wiemy, panuje przekonanie, że przeciętny nastolatek praktycznie nie czyta książek. Mam na myśli wszystkich, nie fanów FNiN, nie członków forum, nie miłośników fantastyki, ale naprawdę wszystkich. Większość też uważa, że to dlatego, że „łatwiej jest przecież obejrzeć film, niż zmuszać umysł do myślenia nad książką”. Właśnie, kiedyś książki zazwyczaj były ambitne, a filmy łatwe i przyjemne (oczywiście z wyjątkami). Oczywiście nadal możemy odnaleźć dużą ilość wartościowej literatury, ale coraz większą popularność zdobywają „pseudoksiążki”.

Nie wiecie, co mam na myśli? Wystarczy pójść do pierwszej lepszej księgarni w najbliższym mieście i obejrzeć dział „dla nastolatek”. Nie chodzi tu nawet o dominujące kolory („mhrocna czerń i krwista czerwień”). Nie chodzi też o tytuły, w których przeważają słowa „wampir, krew, pocałunek”. Chodzi tu o fabułę, akcję, postacie, stylistykę, interpunkcję, ortografię... Jednym słowem, o wszystko. Pseudoksiążek nie da się z niczym pomylić.

Początek

Wszyscy się chyba zgodzą, że zaczęło się od słynnego „Zmierzchu”. Nie czytałam (nie przebrnęłam przez pierwszą stronę), ale wiem, że ma on wielu fanów... ekhm, wiele fanek. O gustach się nie dyskutuje, ale można go jednak uznać za w miarę porządnie napisaną książkę. W miarę porządnie, jeśli pominąć fakt, że wampiry w ludowych wierzeniach były dzikimi bestiami, na pewno nie romantycznymi. Autorka chyba przeoczyła też fakt, że potwory (oryginalnie nazywane wążpierzami) pochodzą z mitologii słowiańskiej. I tylko słowiańskiej, nie z żadnej Ameryki. Mimo wszystko, da się przełknąć.

Co było dalej...

Po sukcesie „Zmierzchu” wielu kolejnych autorów dorwało się do wampirów, wilkołaków i innych, jakże uroczych, istot. Nie mnie oceniać, czy wynika to z ich poziomu intelektualnego, czy też robią to dla pieniędzy. Bardzo łatwo jest stworzyć kicz i wmówić

nastolatkom, że to poważna literatura. Ech... czasami aż wstyd się przyznać, do której płci przynależę.

Powstało więc całkiem sporo powieści na ten sam temat, z takimi samymi postaciami i taką samą fabułą. No, w ogóle takich samych i teraz jesteśmy nimi zasypywani.

Charakterystyka

Cytując poradnik Nonsensopedii „Jak zostać autorką powieści dla nastolatek”:

„W najmodniejszym piarstwie nastolatkowym przyjęto się, że główna bohaterka jest bosko piękna i idealnie piękna oraz cudownie piękna. Dalsza charakterystyka schodzi na drugi plan, bo to już byłaby za głęboka treść.”

O, oto sedno sprawy. Jeśli chodzi o miejsce akcji (znów zgadzam się z poradnikiem), cała rzecz musi się wydarzyć w sennym miasteczku, do którego główna bohaterka została na siłę przeniesiona przez rodziców, lub w Nowym Jorku/Los Angeles gdzie „jest przecież tylko zwykłą amerykańską nastolatką”. Co do podstawowych zasad fabuły: musi mieć tabuny adoratorów, musi zostać przez coś/kogoś wybrana (nieważne, do czego) i oznaczona (naznaczona?), a i musi być przeciągana na stronę zła/być półkwi złą istotą. Czas akcji? Oczywiście jak najbardziej terażniejszy, przecież dawniej nie było haj skul, w którym główna bohaterka mogłaby wpaść w oko największemu przystojniakowi (tak się składa, wampirowi) i konkurować z drugą najpopularniejszą dziewczyną.

Ale najłatwiej poznać taką powieść po wątku romantycznym tak rozbudowanym, że zdominował właściwą akcję.

Ucniowie przerastają mistrzów

Tak wiele dziewczynek, które oglądają filmy i słuchają koncertów marzy później, żeby zostać aktorkami bądź piosenkarkami. Na tej samej zasadzie nieco starsze dziewczyny czytające romanse o istotach nadprzyrodzonych marzą, żeby być pisarkami, a że jest to marzenie nieco łatwiejsze do zrealizowania, czasami się udaje. Niektóre jednak mają większe ambicje i chcą osiągnąć sławę na tym polu będąc jeszcze nastolatką.

Powołują się najczęściej na „Blask” - powieść o aniołach, które schodzą na Ziemię szerzyć dobro, ale zakochują się w śmiertelnikach, autorstwa 14-letniej Amerykanki. Żadna ze znanych mi fanek tego typu literatury nie słyszała np. o „Eragonie” i Christopherze Paolinim.

No dobrze, i co jeśli polska nastolatka pisze swoją powieść od kilku lat, cały czas ją ulepszając, a jej życiowym celem jest napisanie książki mającej ponad 700 stron (przykład z życia wzięty)? Oczywiście dąży do jak najszybszego wydania, i to nie na stronach typu wydaje.pl, ale w pięknej papierowej wersji, z mroczną dziewczyną na okładce i w twardej oprawie. Co ciekawe, często nie chce słyszeć o jakiegokolwiek korekcie, a kwiatki typu „duł” albo „z tond” zdarzają się nagminnie (również przykład z realu).

Jako osoba, która dużo czyta „więc się zna”, często dostaję do oceny fragmenty takich dzieł moich koleżanek. Zazwyczaj serdecznie dziękują za uwagi, bo „są dla nich naprawdę cenne”. A potem je ignorują, bo przecież usunięcie dwustronicowego opisu oczu głównego bohatera pozbawiłoby książkę sensu, a ja po prostu nie rozumiem, że autorka jest romantyczna.

Zawsze w Ameryce

Nie ma pseudoksiążek, których akcja toczy się w Polsce, nawet jeśli autorką jest Polka. Cóż, może i lepiej. Nawiązując jednak do poprzedniego akapitu, nie wszystkie nastoletnie pisarki potrafią poprawnie odmienić, a czasem napisać amerykańskie imiona, miejscowości. Efekt bywa dość żałosny, gdy z „Michaela” robi się „Miacheal” albo z „Ryana” „Raian”.

Druga sprawa to amerykańska kultura. Teoretycznie Polska ulega zachodnim wpływom, i oglądamy amerykańskie filmy, ale nie możemy wiedzieć wszystkiego, nie mieszkając tam przynajmniej przez jakiś czas. Jednak dla młodych pisarek i to nie jest problemem. Nic przecież nie szkodzi, że jeden fragment mówi o „zupełnie zwyczajnych Amerykanach, którzy mieszkają w willi i mają dziesięć samochodów”, a inny o „nastolatkach, które przychodzą do szkoły na ósmą rano i nie

mogą się już doczekać wakacji na koniec czerwca”.

Patrząc na takie książki, jeszcze bardziej podziwiam serię FNiN i inne, podobne, nawet niekoniecznie polskie. Pseudoksiążki według mnie zaczynają powoli tworzyć oddzielny gatunek. Początkowo takie buble kwalifikowały się do „pogranicza fantasy, romansu i horroru”, ale teraz wystarczy spojrzeć na okładkę i od razu wiadomo, z czym ma się do czynienia. Smutne. A wszystkim spragnionym rzetelnej wiedzy o wampirach polecam „Oryginalny Pamiętnik Wampira” (nie „Pamiętniki Wampirów”!) autorstwa samego hrabiego Draculi, małą i niedrogą książkę, z której dowiecie się wszystkiego. Łącznie z tym, jak wampiry ustosunkowały się do „Zmierzchu”. Mnie urzekła czarnymi stronami i ilustracją układu krwionośnego człowieka na początku.

Dracula o pseudo-książkach:

Zgodziłem się na opublikowanie moich wspomnień w odpowiedzi na gorącą mediów odnośnie wszystkiego co wampirze i nieumarłe. Te nędzne wypociny są niczym marne ćmy, wirujące wokół mrocznej gwiazdy Włada.

Karmel



Coś się kończy...

...co się zacznie?

Epoka książek papierowych mozolnie zmierza ku swojemu końcowi. Nie spodziewam się, żeby kiedykolwiek ostatecznie zniknęły one z półek naszych salonów, ale stopniowo wielkie domowe biblioteki będą zastępowane zapelnionymi danymi e-czytnikami. Dla wielu jest to równoznaczne ze śmiercią tego, czym dotychczas była książka – nie tylko treścią, ale także pewnym rytuałem. Pewnie podobnie musieli czuć się średniowieczni mnisi obserwując wynalazek Gutenberga. Wynalazek e-booka niesie ze sobą oczywiste zagrożenia, ale również kilka wielkich szans.

Tania książka dla każdego?

Co składa się na cenę książki? Gaża pisarza, koszt edycji, opracowania grafiki itd. należą do tak zwanych kosztów stałych - to cena wyprodukowanie pierwszego egzemplarza. Drugim elementem są koszty zmienne – to cena wyprodukowania każdej kolejnej książki, na którą składa się przede wszystkim druk i koszt transportu. Gołym okiem widać, że w przypadku e-booka odpadają niemal wszystkie koszty zmienne, co powinno znacznie obniżyć cenę książek. Czy będzie tak faktycznie?

Niekoniecznie. Ceny książek popularnych autorów najprawdopodobniej nie obniżą się zbyt bardzo (co nie znaczy, że w ogóle) z kilku względów – branża wydawnicza w przypadku dominacji e-booków będzie funkcjonować w świecie korzyści skali, który ma dużą skłonność do monopolizacji. Najprawdopodobniej rynek zdominuje kilka ogromnych wydawnictw utrzymujących ceny na stosunkowo wysokim poziomie. Ponadto książki mające szansę na stanie się poczytnymi, będą droższe na skutek wyższych kosztów marketingu. Nie spodziewajmy się więc, że kolejną pracę Sapkowskiego będzie można kupić za przysłowiową dychę, ale...

Szansa dla kolekcjonerów

...fani niszowych pisarzy mogą już zacierać ręce. Podobnie jak sami niszowi pisarze. Redukcja kosztów druku i transportu do minimum jest wielką szansą dla tych, którzy marzą tylko o tym, żeby zostać wydani i wcale nie potrzebują reklamy, ciesząc się z każdego czytelnika.

Dotychczas książki nie mające szans na rozejście w wielkim nakładzie (a dotyczyło się to prawie jedynie książek naukowych, inne w ogóle nie pojawiały się w sprzedaży) osiągały niebotyczne ceny – z prostej przyczyny, koszt wydrukowania kilku egzemplarzy, w przeliczeniu na jednostkę jest znacznie wyższy niż wydrukowania kilku tysięcy. Kiedy znika ta bariera, o ile młodzi pisarze nie poczują się zbyt pewni siebie, zyskują dużo większe szanse na bycie wydanymi – choćby w ramach niezbyt kosztownego eksperymentu, a już znajdują czytelników?

Wielki powrót do klasyki

Kolejną szansą, tym razem dla całej kultury jak sądzę, są książki o koszcie edycji czy praw autorskich wynoszącym okrągłutkie zero. Mowa oczywiście o klasykach literatury, których już dziś możemy swobodnie czytać na Wikiźródłach. Przekonwertowanie, nawet domową metodą, tekstu do formatu .pdf nie stanowi większego problemu, a podejrzewam, że wkrótce należy spodziewać się powstania stron udostępniających dzieła klasyków w formie gotowych e-booków.

Kto wie, czy mając do dyspozycji zupełnie darmowe książki, coraz szersze rzesze społeczeństwa nie zaczną po nie sięgać. A skutki takiego obrotu spraw trudno przewidzieć.

Jak pożyczać i sprzedawać?

Niestety kryształowy świat darmowych klasyków i wielkich szans dla młodych pisarzy ma swoje rysy. Niestety dystrybucja e-booków

wiąże się z wplątaniem w skomplikowaną sieć przepisów o prawach autorskich, które mocno utrudnią przede wszystkim działanie bibliotek, drobnego handlu, a nawet przyjacielskiego pożyczania.

Dotychczas jaka jest książka każdy widział. Biblioteka kupując ograniczoną ilość egzemplarzy mogła jedynie tę ograniczoną liczbę egzemplarzy wypożyczyć. Podobnie działo się między przyjaciółmi – straty związane z nagięciem praw autorskich były dla wydawnictw minimalne. Inaczej dzieje się w przypadku e-booków. I chociaż wprowadzenie pewnych prawno-technicznych rozwiązań nie stanowi większego problemu, to pojawia się bardzo duże pole do nadużyć, a co z tym idzie źródło potencjalnych konfliktów.

Oczywiście nie sposób kontrolować komu bezpośrednio wysyłamy kopie książki w ramach „pożyczania”, o tyle, o ile nie robimy tego na dużą skalę. Problem pojawia się w dwóch miejscach - przede wszystkim, czy w ogóle da wypożyczyć się e-booka. Technicznie jest to możliwe – biblioteki, jak dotąd, kupowałyby pewną liczbę książek, którą mogłyby wypożyczać, a które po upływie określonego czasu automatycznie kasowałyby się z e-czytnika wypożyczającego.

Tego typu zabezpieczenia mają jednak zazwyczaj tę wadę, że bardzo szybko pojawiają się programy umożliwiające ich ominięcie. Gdyby proceder „długiego wypożyczania” e-booków osiągnął wystarczająco dużą skalę, wielkie wydawnictwa (a jak już pisałem

sytuacja jest wielce sprzyjająca dla takich molochów), niczym niesławne koncerty farmaceutyczne, wypowiedziałyby bibliotekom wojnę w obronie swoich praw, której wynik trudno dziś przewidzieć.

Z podobnym problemem musi zetknąć się także rynek wtórny książek – o ile antykwarjaty nie należą w Polsce do miejsc bardzo popularnych (ani bardzo tanich), o tyle kupowanie używanych podręczników jest częstym źródłem oszczędności. Co zrobić jednak jeżeli podręczniki zaczną obowiązywać w formie elektronicznej – jak pokazał precedens gier komputerowych wprowadzanie zakazu handlu na rynku wtórnym do umów licencyjnych jest niezgodne z prawem UE, jak jednak kontrolować, czy sprzedajemy tylko tyle podręczników ile rzeczywiście posiadamy? Czy korumpowanie dyrektorów szkół by przekonać ich do uczynienia podręcznikiem kolejnego „wydania zmienionego” nie stanie się dla wydawnictw (jak stało się to dla wspomnianych już koncernów farmaceutycznych) zbyt dużą pokusą?

Mimo zagrożeń, e-booki to nadzieja na odrodzenie mody na czytanie. Nie tylko dlatego, że książki staną się tańsze, łatwiej dostępne i bardziej zróżnicowane. Przede wszystkim dlatego, że świat XXI wieku uwielbia nowoczesne technologie – i wprowadzenie choć minimalnej ich dawki do literatury może wywołać niespotykany od czasów oświecenia wzrost popularności czytania,

Czego sobie i wszystkim czytelnikom życzę.

Fileas

O recenzjach słów kilka – recenzja vs recenzja

Dlaczego taki tytuł artykułu? Bo recenzja recenzji nie równa, przynajmniej moim zdaniem. Chodzi mi tylko o dwa rodzaje recenzji – filmu i książki, ponieważ innych nie pisałem.

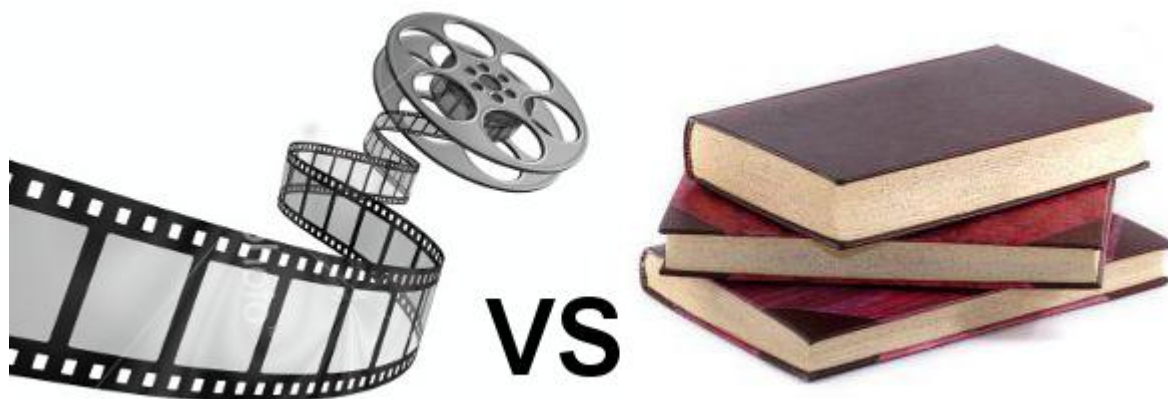
Od początku. Według mnie, dużo trudniej jest napisać recenzję książki niż filmu. Dlaczego tak się dzieje? Powodów jest kilka. Pierwszy to czas jaki musimy poświęcić na obejrzenie filmu w porównaniu z czasem jaki musimy poświęcić na przeczytanie książki. Nie znaczy to oczywiście, że książek nie czytam, wręcz przeciwnie (o czym świadczy moja obecność tutaj). Mam raczej na myśli, że po obejrzeniu filmu trwającego półtorej godziny pamiętamy wszystko – jesteśmy w stanie go bardzo

szczegółowo ocenić i zrecenzować, pamiętając większość dobrych i złych stron. Przeczytanie książki trwa zazwyczaj od dwóch dni do półtora tygodnia. I na koniec nie pamiętamy już wszystkich szczegółów - jeżeli autor nie popełni rażącego błędu do połowy książki to czytelnik zapamięta najbardziej koniec i oceni ją na jego podstawie.

Poza tym łatwiej jest ocenić obiektywnie film – kategorie oceny są w nim podobne dla wszystkich odbiorców. Z książką jest trudniej, ponieważ zupełnie inne wyznaczniki przyjmujemy do oceny science-fiction, komedii, czy romansu.

Trzeba też pamiętać, że w przypadku książki dużo większe znaczenie ma wyobraźnia, a co za tym idzie subiektywne odczucia i jej możliwości.

drzewo148



Patologie Internetu

Pierwsza w nocy, nie zrobiłem nic na jutro do szkoły, nie umiem nic na sprawdzian, mimo że jest zapowiedziany od miesiąca; co prawda zadania są podyktowane z dokładnością do jednego podpunktu, ale nie chciało mi się poświęcić kwadransa na naukę. Dwa miechy temu zapisałem się na konkurs, nic na niego nie umiem, trzy miechy temu – na olimpiadę, nic nie umiem ale co tam, jakoś z tym będzie. Zresztą, co tam szkoła – myślałem żeby zrobić sobie kaloryfer, zrzucić trochę kilo, popracować nad sobą, samodoskonalić się, nauczyć się grać na gitarce, ale...

Nie chce mi się. Siadam do neta. Napisze jeszcze tylko na tablicy że „Nic nie mam na jutro, ale jestem śmieszny xd”, a potem...

...byle jakie życie przed netem i kompem, byle jaka robota (oby szybciej do domu), byle jaka śmierć. I piach.

Co budzi powyższe wyznanie? Politowanie, lekceważenie dla tak zmotywowanego gościa? Nie.

Déjà vu.

Wszyscy to znamy. Jeśli tylko w twojej głowie, czytelniku, zjawiała się kiedyś myśl aby zrobić coś ze swoim życiem, zaraz idzie ją bić milion memów z kwejka (F*ck school/F*ck work/F*ck everything, let's go and have fun) i tysiąc postów z facebooka, które utwierdzą Cię w przekonaniu, że twoim przeznaczeniem jest nic nie robić i siedzieć dalej przed monitorem, dalej olewać naukę, i wszystko co sprawia że wybiłbyś się z tłumu. Bo kwejk.pl i portale internetowe, oraz popkultura, w obecnych czasach spełniają rolę socjologicznego walca, wyrównującego indywidualistów.

Spróbuj tylko uczciwie popracować. Wyznaczyć sobie grafik dnia, kuć na bieżąco, odrabiać lekcje, nie być totalnym nieogarem który o Bożym Narodzeniu przypomina sobie w maju;

zarabiać pieniądze, zmieniać swoje życie na lepsze. Możesz i taki być.

Ale po co, skoro wszyscy dookoła są inni?

Po co robić cokolwiek porządnie, skoro można odwalić to w ostatniej chwili, byle jak, i modlić się o dobry efekt? Po co się zmieniać, skoro lepiej narzekać (przed wspomnianym monitorem)?

Powiesz mi, że to normalne. Że nie da się nadażyć, że nie da się zorganizować, że trzeba wyluzować, sorry, taki lajf.

A może to nie jest normalne?

Może to patologia? Kult lenistwa, mam-wszystko-gdzieś, kult przechwalania się kto ma więcej pał, kto więcej godzin utopił w siedzeniu na fejsie? Może to jakieś kompleksy? Przed kujoństwem? Przed czym?

Może to choroba w skali kraju, sprawiająca, że mamy w Polsce ogromny odsetek magistrów – idiotów, debili z prominentnych szkół, uczących się tylko i wyłącznie w nocy o północy przed egzaminem? Może to choroba cywilizacji, socjologiczne wyrównywanie jednostek do pionu?

Nie wiem, ale coś tu jest nie tak.

Wchodzę na Facebooka.

Umie ktoś coś do matmy?

Nie.

Lol.

Przewijam memy.

„Śmiej się z twoich problemów. Wszyscy inni już to robią.”

„Codziennie rano na krawędzi łóżka trwa heroiczna walka ducha z materią.”

„Z tego szczęścia chce mi się skakać – z mostu pod pociąg”

„Moja dieta: dzień pierwszy – sałatka, dzień drugi – eat all the cookies!”

Przypadek kliniczny:

„Kiedy ktoś pyta mnie o moje hobby: I like to stay at home and sit on my ass”

Opuszczam Internet. I myślę.

Sam temu uległem. Sam uległem kłamstwu, że praca jest ciężka, życie jest ciężkie, szkoła jest ciężka, trzeba wyluzować, nie ma co się przejmować. Wszystko robi się samo.

Wstań, przyjacielu, narzekając na wstawanie o szóstej rano, powleczone do szkoły, utyskując na uciekające autobusy, spędź te 7 godzin w szkole, modląc się, że przeżyjesz kolejny dzień bez wysiłku umysłowego, bez pracy, robiąc wszystko na odwal się, mając pretensje, ilekroć musisz ruszyć cztery litery (w końcu nie po to trafiłeś do szkoły, aby się uczyć...); wróć do domu, utyskując na uciekające autobusy, zmarnuj resztę dnia na narzekanie na swoje życie przed netem, o północy zrób te niezbędne minimum pracy, idź spać, módl się o sen.

Giń, przyjacielu.

Za zakończenie tekstu niech posłuży mi cytata z ulubionego Dnia Świra:

„Towarzyszu podróży, zbudowałeś byt swój zasklepiając jak termit wyloty ku światłu i zwinąłeś się w kłębek w kokonie nawyków, w dławiącym rytuale codziennego życia. I choć przyprawia cię on co dzień o szaleństwo, mozolnie wzniosłeś szaniec z tego rytuału przeciw wichrom, przyptywom, gwiazdom i uczuciu. Dość trudu cię kosztuje, by co dnia zapomnieć swej kondycji człowieka. Teraz glina, z której zostałeś utworzony, wyschła i stwardniała. Nikt już się nie dobudzi w tobie astronoma, muzyka, altruisty, poety, człowieka, którzy zamieszkiwali może ciebie kiedyś.”

Życzę Ci, Czytelniku, abyś tego nie doświadczył, abyś wyrwał się z tego kręgu.

KamcioKowal



Wszyscy żyjemy w Matrixie

Jako rzecz tytuł, wszyscy żyjemy w Matrixie.

Nie potrzeba nam do tego opresyjnych systemów, totalitaryzmów, ani symulacji wirtualnych podsuwających złudzenia o otaczającym świecie. A w każdym razie, nie w potocznym tego słowa rozumieniu – każdy z nas ma wbudowany niewyobrażalnie bardziej skomplikowany zamiennik wszystkich tych elementów.

Mózg.

Co czyta ten tekst? Człowiek, chyba że jakaś inna istota zainteresowała się naszym magazynem. Ale... co dokładnie? Człowiek to według redukcjonistycznego punktu widzenia kupa mięśni, kości, organów, maszynka biologiczna (nie wchodząc w filozofię, religię, miłość pomiędzy tymi maszynkami i tym podobne komplikacje). Jednak to, co odróżnia nas od zwierząt, to świadomość własnego jestestwa.

Co w człowieku wie o tym, że jest człowiekiem?

Myślisz, czytelniku, że TY, twoje „ja”, wie o tym, że jest człowiekiem, czyta ten tekst i zastanawia się "do czego ja zmierzam?". Błąd. To, co rości sobie prawa do „ja”, to, czemu wydaje się, że jest Tobą, to nie Twój mózg, ale jego mała cząstka, odpowiadająca za samoświadomość, jedna z wysepek spiętych w neuronowy archipelag. Ta mała cząstka nie wie o reszcie mózgu, o reszcie samego siebie...

Nie wiesz nic o sobie. Nie wiesz, że codziennie podświadome i nadświadome partie Twojego umysłu toczą między sobą walki o połączenia nerwowe, co wpływa na to, czy czytasz ten tekst, czy miziasz dziewczynę w ucho, czy tańczysz makarenę, co wpływa na twoją osobowość i nastrój. Wydaje ci się, że to wszystko to TWÓJ świadomy wybór, gdy tymczasem istnieje teoria, że jest to... urojenie,



bo są poważne przesłanki, że mózg decyduje o wykonaniu danej czynności na kilkaset milisekund przed uświadomieniem sobie tego.

Innymi słowy, to że czytasz teraz ten tekst, może wcale nie być Twoją decyzją! Może to być suma decyzji, kumulujących się w częściach galarety w twojej głowie, o których nie masz bladego pojęcia, i które decydują o twoich upodobaniach dot. miziania dziewczyn w uszy!

Podsumowując, istnieją poważne przesłanki, że wolna wola to łagodna iluzja „interfejsu użytkownika”, a o Twoim zachowaniu decydują daleko głębsze, nieuświadomione procesy.

Co o nich decyduje?

Mózg. Galareta upakowanych neuronów (ciekawostka – gdyby je wszystkie rozplątać i związać w jedną nitkę, miałaby ona długość, bagatela, 40 000km), zwana lekceważąco w czasach, gdy uważano serce za ośrodek umysłu i duszy „twarogiem”.

Nie masz do niego wstępu. To nie jesteś ty. Ty, to owa część tej galarety, mająca za zadanie być samoświadoma, będąca pod wpływem złożonych reakcji biochemicznych.

Dowcip polega na tym, że Ty, czytelniku, jako część owej galarety, nigdy nie będziesz miał

pełnej wiedzy o tym ważnym organie, bo mniej złożona część mózgu nie może ogarnąć bardziej złożonego mózgu jako całości.

Innymi słowy, wszyscy żyjemy w Matrixach naszych własnych galaret w głowach, one mają nad nami władzę, z której nawet sobie nie zdajemy sprawy, zaburzenia w nich kreowały na przestrzeni wieków geniuszy i zwyrodnialców (ani pierwsi, ani drudzy nie zdawali sobie z nich sprawy!).

Dlaczego w Matrixach?

Czy myślisz, Czytelniku, że to, czego doświadczasz na co dzień, to świat zewnętrzny?

Nieprawda, to interpretacja świata fizycznego, przefiltrowanego przez ludzkie zmysły. Tak naprawdę nie istnieje muzyka: są mechaniczne drgania ośrodka, które Twoje uszy przekształcają w Gangnam Style. Nie istnieje barwa: to interpretacja promieniowania, dokonywana przez Twój wzrok (jak wiadomo, inne zwierzęta widzą świat w zupełnie innych gamach barwnych). Żeby było śmieszniej, ludzkie oko widzi wyraźnie tylko kilka procent świata w swoim zasięgu – reszta jest... „dosztukowana” i „skorygowana” przez naszą ulubioną galaretę!

Photoshop!

Nie istnieje zapach: to rozkodowane przez komórki węchowe kody

substancji chemicznych. Podobnie smak. I dotyk. I wszelkie doznania; to tylko filtry.

W dodatku, psychologia poznawcza i podejście poznawcze postulują, że wiedzę o rzeczywistości umysł tworzy nie poprzez bierne sumowanie danych otrzymywanych z narządów zmysłu i ich magazynowanie, lecz w sposób aktywny, jako pewnego rodzaju model, odwzorowując czy też reprezentując realne obiekty w jakiejś symbolicznej postaci struktur poznawczych.

Innymi słowy: to wszystko co widzimy, to tylko symulacja.

Pytanie: po co owa galareta to robi, po co nas okłamuje? Nie jest to żadna odrębna osobowość w Twojej głowie, żaden demon czy potwór, tylko poboczne elementy składowe twojego jestestwa. Wszystkie bowiem te elementy składają się na to, co odróżnia człowieka od reszty świata zwierzęcego – inteligencję; wszystkie te systemy ostro pracują nad przedstawieniem otaczającego Cię, szalonego świata, w zrozumiałej formie.



„Gdyby ludzki mózg był tak prosty, że moglibyśmy go zrozumieć, bylibyśmy wtedy tak głupi, że nie zrozumielibyśmy go i tak.” – Jostein Garder (z książki *Świat Zofii*)

KamcioKowal

Postęp cywilizacji – czy jesteś szczęśliwszy od jaskiniowca?

Czym jest postęp?

Każdy z nas uczy się w szkole o postępie technologicznym: kiedyś, drogi uczniu, człowiek jeździł na wozie – teraz ma samochód. Kiedyś miał otoczek – teraz ma nóż, a będzie miał nóż laserowy! Kiedyś miał liczydło, teraz ma komputer, kiedyś będzie miał trylion razy potężniejszy komputer kwantowy (to nie jest ot tak rzucone zdanie, prace nad takimi już trwają).

O postępie traktuje też seria „Felix Net i Nika”, choć w tamtejszym świecie poziom technologiczny roku 2005 wyprzedza czas rzeczywisty dość znacząco (Manfred! Morten! Latające spodki!).

Zastanawiałeś się kiedyś, Czytelniku, czym jest postęp, i...

Po co on jest?

Powiesz, że to oczywiste. Postęp służy ulepszaniu świata, postęp czyni ludzkie życie prostszym, przyjemniejszym; być może nawet powiesz, że czyni nas szczęśliwymi.

Cóż, moim zdaniem, jest to zupełna nieprawda – szczególnie to ostatnie stwierdzenie.

Czym jest postęp?

Jest to proces następujących usprawnień technologicznych, które – uwaga – dają nam złudną nadzieję, że w przyszłości świat będzie lepszy, a my sami szczęśliwsi.

Nie jest to pesymistyczne spojrzenie, lecz realizm – psychologowie już dawno doszli do konkluzji, że rozwój ludzkości opiera się na marzeniu „większej ilości szczęścia”; problem w tym, że jest to pogląd z gruntu błędny! Szczęścia nie da się rozmnożyć, a już na pewno nie ulepszeniami cywilizacyjnymi – psychologowie opisują, że szczęśliwość człowieka z natury nie zwiększa się, lecz spada.

A sztuką jest zachowanie bazowego poziomu, raczej niż osiągnięcie kolejnych pułapów.

A ów poziom, uwaga, prawdopodobnie jest taki sam jak w przypadku homo sapiens żyjących kilkadziesiąt tysięcy lat temu – siedząc teraz i czytając ten tekst, jesteś dokładnie tak samo szczęśliwy, jak człowiek jaskiniowy jedzący mięsko z ogniska, lub – z bardziej ambitnych dokonań – malujący bizona na ścianie jaskini.

A zatem, po co nam postęp?

Nie zamierzam pisać, że jest on niepotrzebny, że należy wrócić do natury, ani gadać tym podobnych bzdur w stylu (z całym szacunkiem, ogólnie rzecz biorąc Pana lubię) Jana Jakuba Rousseau; oczywiście, że progres cywilizacyjny to wspaniała rzecz, której zawdzięczamy bardzo wiele. Dzięki niemu żyjemy dłużej, obarczeni mniejszym ryzykiem stratowania przez mamuta lub śmierci wskutek kataru, podróżujemy dalej, mamy większe możliwości, większe horyzonty; dzięki oświeceniowym zmianom w teorii państwa istnieją na Ziemi miejsca, gdzie ludzie nie muszą się obawiać wojny dynastycznej, szalonego monarchy, ani pańszczyzny i niewolnictwa. Wbrew pozorom, mniej mamy też wojen (ciągle powtarza się frazesy o ogromnej ilości konfliktów światowych – faktem jest jednak, że w ostatnich dekadach ich liczba i zasięg zdecydowanie spadły).

To wszystko to jednak swoisty efekt uboczny, a wielkie marzenie ludzkości – wieczne szczęście – wciąż się nam wymyka. Jego poziom ani trochę się nie zwiększył, co najwyżej mamy większe szanse je osiągnąć (czytaj: nie przeszkadza nam w tym tyle mamutów, szalonych królów, i epidemii dżumy).

Tu pojawia się jednak jeszcze inny problem: czy postęp technologiczny powinien nastąpić?

Otóż, nie jestem do końca przekonany do optymistycznych poglądów, że rozwój cywilizacji to rzecz naturalna, rzecz która musiała się pojawić – mam na myśli zwłaszcza

eksplozję rozwojową ostatnich kilkuset lat, która sprawia, że obecnie śmiejemy się z pancernych Nokii sprzed dekady.

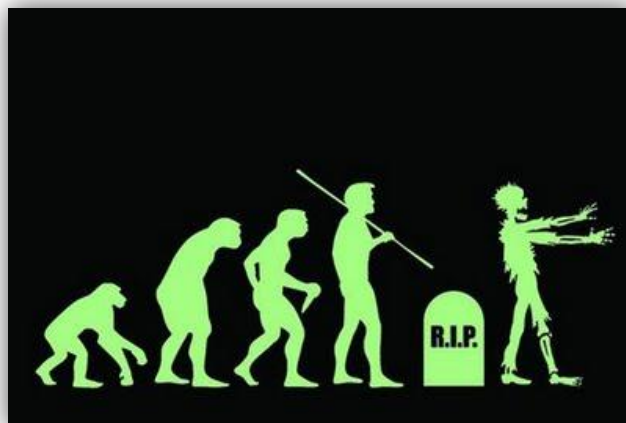
A jeśli to wszystko to tylko mutacja rozwojowa małpy, zwanej człowiekiem? Jeśli rozwijamy się wbrew ewolucji, wbrew planecie, zupełnie przypadkowo, idąc donikąd? Jeśli to prowadzi do samozagłady, albo w pustkę? Skąd pewność, że wszystko idzie we właściwym kierunku?

Bardzo łatwo zauważyć, że rozwój technologiczny jest znacznie szybszy od biologicznego – czy nie niesie to ze sobą pewnego niebezpieczeństwa?

Czytasz obecnie ten magazyn, popijając syntetyczny soczek przed monitorem swojego ultranowoczesnego komputera. Ale technicznie rzecz biorąc, jesteś nie tylko dokładnie takim samym stworzonkiem jak twój dziadek – jesteś bardzo podobny biologicznie do twojego przodka, który kilkadziesiąt tysięcy lat temu smażył mięsko przy ognisku, odzywają się do ciebie dokładnie te same instynkty i popędy! I ja, i Ty, jesteśmy takimi samymi dwunożnymi małpami co 50 000 lat temu, tyle że teraz udajemy bycie czymś więcej, ubierając się w śmieszne stroje i mieszkając w dziwnych sadybach, ukrywając swoją własną zwierzęcość.

Dlaczego to niepokojące? Bo wydarzenia XX wieku pokazały, że wbrew całej tej kulturze i cywilizacji, człowiek wciąż może być bardzo niebezpiecznym dzikusiem, tym samym co 50 000 lat temu.

Tyle, że teraz ma do dyspozycji technologię, którą może wykorzystać do szerzenia zła!



Przykłady? Proszę bardzo. Nazizm – dyktatura psychologicznie opierająca się na tym samym mechanizmie wodza co w czasach plemiennych, i komory gazowe, i miliony ofiar spowodowane bezmyślnością i zbydlęcieniem. Wielki głód na Ukrainie, spowodowany dyktaturą stalinowską, przynoszący kolejne miliony ofiar i liczne przypadki ludożerstwa na terenach objętych głodem. Okrutna, zwierzęca rzeź setek tysięcy ludzi w Rwandzie. Kartele narkotykowe. Internetowi gwałciciele. Zamachy bombowe.

To wszystko to efekt rozwoju technologicznego następującego szybciej niż rozwój homo sapiens:

„Siła naszej nauki przerosła siłę ducha. Mamy kierowane rakiety i źle kierowanych ludzi”. – Martin Luther King Jr.

Nie zamierzam negować postępu cywilizacji, postępu ludzkości. Wciąż wierzę, że jest on w ogromnej mierze pozytywny – zresztą głupotą byłoby nań narzekać, za pośrednictwem globalnej, komputerowej, satelitarnej sieci informacyjnej... I wierzę, że kiedyś ludzkość może dotknąć gwiazd dzięki niemu.

Chciałem tylko, Czytelniku, żebyś spojrział nań z innej perspektywy, i żebyś ostrożniej mówił o świetlanej przyszłości. A przede wszystkim, żebyś nie wierzył, iż nowy iPod zapewni Ci szczęście. Nie. Nie robi on w tym aspekcie nic.

Ale możesz przy jego użyciu zrobić komuś fotkę, a następnie go przytulić; psychologia jednoznacznie twierdzi, że to zapewnia znacznie więcej szczęścia, i to obu stronom.

KamcioKowal